

W obronie **POKOJU**

Nr 4 (22)

KWIECIEŃ 1953 r.

Cena zł. 2.50

NIEŚMIERTELNA NAUKA JÓZEFA STALINA

CLAUDE MORGAN — GORDON SCHAFER

WENEZUELA — KRAJ KONTRASTÓW

TRAGICZNE ŻYCIE VAN GOGHA

GERALD CAZAUBON — CLAUDE ROY

DWIE BAJKI HINDUSKIE

STEFAN ARSKI — KRZYSZTOF ZAREWICZ

Wydawca: POLSKI KOMITET OBRONCÓW POKOJU

Redakcja: Warszawa, Foksal 16

Telefony: Redaktor Naczelny 724-90

Sekretarz Redakcji 721-10

Godziny przyjęć: 13 — 15

Administracja: W-wa, ul. Wiejska 12, tel. 752-50

Warunki prenumeraty: kwartalnie — 7.50 zł

półrocznie — 15.00 zł

rocznie — 30.00 zł

Zgłoszenia na prenumeratę przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy

Ekspedycja Centralna: Srebrna 12.

Drukarnia RSW „Prasa“, W-wa, al. Jerozolimskie 125

Wszelkie reprodukcje naszych tekstów i ilustracji są dopuszczalne tylko za podaniem źródła: „W obronie pokoju“

» W OBRONIE POKOJU «



Większość artykułów pochodzi z miesięcznika:

DEFENSE DE LA PAIX

33, rue Vivienne — Paris II — Tel. CEN 49-27, 49-28

pod redakcją PIERRE COTA

deputowanego do francuskiego parlamentu

oraz

CLAUDE MORGANA, literata i publicysty

KOMITET DORADCZY:

Dr ATAL (Indie), *prof. Uniwersytetu*, JOSE BERGAMIN (Hiszpania) *pisarz katolicki*, IZABELA BLUME (Belgia) *deputowana socjalistyczna*, GEORG BRANTING (Szwecja) *deputowany socjalistyczny*, ILJA ERENBURG (ZSRR) *pisarz*, Gen. ERIBERTO JARA (Meksyk) *b. minister*, MAHDI JAWAHIRI (Irak) *poeta*, LEON KRUCZKOWSKI (Polska) *przewodn. Zw. Literatów Polskich*, MAO DUN (Chiny) *przewodn. Zw. Literatów Chińskich*, CESA NABARAOUI (Egipt) *dziennikarka*, PIETRO NENNI (Włochy) *b. minister*, MARIA ROSA OLIVER (Argent.) *literatka*, LUIGI RUSSO (Włochy) *krytyk*, GORDON SCHAFFER (W. Bryt.) *publicysta*, ARNOLD ZWEIG (Niemcy) *pisarz*.



5 MARCA 1953 ROKU

ZMARŁ

JÓZEF STALIN

Nieśmiertelna nauka JÓZEFA STALINA Chorażego Pokoju

JOZEF STALIN wielki choraży światowego obozu pokoju nie żyje. Ale wiec nie są żywe nauki i wskazania Wielkiego Wodza postępowej ludzkości. Z jeszcze większą energią, ze zdwojoną czujnością, z jeszcze większym zdecydowaniem prowadzić będą narody walkę o najwyższe dobro ludzkości — walkę o pokój, której przewodził Stalin i której niewzruszoną ostoją jest niezwyciężony Związek Radziecki. W tych chwilach dla wszystkich ludzi dobrej woli słowa wielkiego Stalina pozostają nadal źródłem otuchy i siły do dalszej walki o pokój.

17 lutego 1951 roku korespondent „Prawdy” zwrócił się do Józefa Stalina z pytaniem: „Czy uważacie, że nowa wojna światowa jest nieunikniona?”, Józef Stalin odpowiedział:

„Nie. Przynajmniej w obecnym czasie nie można uważać jej za nieuniknioną.

Oczywiście, w Stanach Zjednoczonych, w Anglii, jak również we Francji istnieją agresywne siły, pożądamy nowej wojny. Potrzebna im jest wojna dla utrzymania zysków nadzwyczajnych, dla ograbienia innych krajów. Są to miliarderzy i milionerzy, traktujący wojnę jako intratny interes, dający kolosalne zyski.

One to, te agresywne siły, trzymają w swych rękach rządy reakcyjne i kierują nimi. Równocześnie jednak boją się one swoich narodów, które nie chcą nowej wojny i są za utrzymaniem pokoju...

...Czym zakończy się ta walka między siłami agresji a siłami miłującymi pokój?

Pokój zostanie utrzymany i utrwalony, jeżeli narody ujiną w swe ręce sprawę utrzymania pokoju i będą broniły jej do końca. Wojna może stać się nieunikniona, jeżeli podżegaczom wojennym uda się omotać siecią kłamstw masy ludowe, oszukać je i wciągnąć do nowej wojny światowej“.

W swojej genialnej pracy pod tytułem: „Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR“ ogłoszonej w przeddzień XIX Zjazdu KPZR, Józef Stalin uczył, jak wielkie znaczenie w tej sytuacji posiada międzynarodowy ruch w obronie pokoju, sprawa nieustannego wzmacniania czujności narodów wobec zakusów imperializmu, podnoszenia obronności krajów obozu pokoju.

„Współczesny ruch w obronie pokoju — pisał Stalin — ma na celu zmobilizowanie mas ludowych do walki o utrzymanie pokoju, o zapobieżenie nowej wojny światowej...

...Jest rzeczą najbardziej prawdopodobną, że współczesny ruch na rzecz pokoju, jako ruch na rzecz utrzymania pokoju, doprowadzi w razie powodzenia do zapobieżenia DANEJ wojnie, do chwilowego jej odroczenia, do chwilowego utrzymania DANEGO pokoju, do dymisji wojowniczego rządu i zastąpienia go przez inny rząd, który gotowy będzie chwilowo utrzymać pokój. Jest to oczywiście dobrze. Nawet bardzo dobrze. Niemniej jednak nie wystarcza to, aby unicestwić nieuchronność wojen w ogóle między krajami kapitalistycznymi, nie wystarcza to, ponieważ przy wszystkich tych sukcesach ruchu w obronie pokoju imperializm mimo wszystko utrzymuje się, pozostaje w sile — a zatem pozostaje w sile również nieuchronność wojen.

Aby usunąć nieuchronność wojen trzeba zniszczyć imperializm“.

Stalin wskazywał, że źródła obecnego napięcia międzynarodowego tkwią w agresywnych działaniach polityki „zimnej wojny“ prowadzonej przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Uczył on, że najpewniejszą gwarancją powstrzymania zakusów agresorów jest nieustanne wzmacnianie siły i obronności Związku Radzieckiego i wszystkich krajów obozu pokoju. W wywiadzie udzielonym korespondentowi „Prawdy“ 6.X.1951 r. Stalin mówił:

„Agresorzy chcą oczywiście, ażeby Związek Radziecki był bezbronny w wypadku ich napadów na Związek Radziecki. Ale Związek Radziecki z tym się nie zgadza i sądzi, że agresora należy spotkać w pełnym uzbrojeniu“.

Największą przeszkodą w usiłowaniach imperialistów rozpętania nowej wojny, najmocniejszą zaporą na drodze podżegaczy wojennych jest potężny Związek Radziecki, kraj socjalizmu, który sam jeden rozbił hitlerowską maszynę wojenną. Wielka, niezwykła potęga Związku Radzieckiego, którą stworzył, wspólnie z Leninem, Józef Stalin, stoi niezłomnie na straży pokoju i bezpieczeństwa wszystkich narodów.

Na XIX Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego Józef Stalin wskazał, że poparcie Związku Radzieckiego jest równoznaczne z obroną najżywniejszych interesów wszystkich narodów.

„Cecha charakterystyczna tego poparcia — mówił Józef Stalin — polega na tym, że wszelkie poparcie pokojowych dążeń naszej partii przez jakąkolwiek

bratnią partię oznacza jednocześnie poparcie jej własnego narodu w jego walce o utrzymanie pokoju. Ta właściwość wzajemnego poparcia tłumaczy się tym, że interesy naszej partii nie tylko nie są sprzeczne, lecz, przeciwnie, są zbieżne z interesami miłujących pokój narodów. Co się tyczy Związku Radzieckiego, to jego interesy są w ogóle nieodłączne od sprawy pokoju na całym świecie“.

Niewyciężona potęga Związku Radzieckiego i gorące poparcie, jakim Kraj Rad cieszy się wśród wszystkich narodów świata, powstrzymują agresywne zapędy imperialistów. Wzmacniając swoją siłę obronną, Związek Radziecki jednocześnie prowadzi konsekwentnie politykę pokoju i przyjaźni między narodami. Niezachwiana wiara Józefa Stalina, że narody zdołają obronić pokój i nie dopuszczą do rozpętania nowej wojny, znalazła wyraz również w ostatniej odpowiedzi Stalina na pytania korespondenta „New York Times“, Jamesa Restona, z dnia 21 grudnia ubiegłego roku.

„W dalszym ciągu wierzę — oświadczył Józef Stalin — że wojny między Stanami Zjednoczonymi Ameryki a Związkiem Radzieckim nie można uważać za nieuniknioną, że nasze kraje mogą również nadal żyć w pokoju“.

Stalin wskazywał, że pokojowe współistnienie różnych systemów politycznych i społecznych jest najzupełniej możliwe. W odpowiedzi na pytania grupy redaktorów gazet amerykańskich z kwietnia 1952 roku, na jakiej podstawie możliwe jest współistnienie kapitalizmu i komunizmu, Stalin odpowiedział:

„Pojokowe współistnienie kapitalizmu i komunizmu jest całkowicie możliwe, jeśli istnieje obopólna chęć współpracy oraz gotowość wykonywania przyjętych zobowiązań, jeśli przestrzegana jest zasada równości i niewtrącania się w wewnętrzne sprawy innych państw“.

Wskazania Józefa Stalina, Wielkiego Chorażego Pokoju, będą nadal drogowskazem w walce wszystkich narodów o utrwalenie pokoju, o demokrację i socjalizm. Stalinowska polityka pokoju i przyjaźni między narodami kontynuowana jest przez rząd Wielkiego Związku Radzieckiego, niewyciężonego Kraju Rad, który skupia wokół siebie całą postępową ludzkość.

Komunikat KC KPZR, Rady Ministrów ZSRR i Prezydium Rady Najwyższej ZSRR głosi:

„Polityka zagraniczna Partii Komunistycznej i Rządu Związku Radzieckiego była i jest niewzruszoną polityką utrzymania i utrwalenia pokoju, polityką walki przeciwko przygotowywaniu i rozpętywaniu nowej wojny, polityką współpracy międzynarodowej i rozwoju stosunków handlowych ze wszystkimi krajami. Narody Związku Radzieckiego, wierne sztandarowi proletariackiego internacjonalizmu, umacniają i rozwijają braterską przyjaźń z wielkim narodem chińskim, z masami pracującymi wszystkich krajów demokracji ludowej, więzy przyjaźni z masami pracującymi krajów kapitalistycznych i kolonialnych, walczącymi o sprawę pokoju, demokracji i socjalizmu“.

NEUTRALIZM I POKÓJ

PIERRE COT

NA Kongresie Narodów w Wiedniu Ilja Erenburg poruszył sprawę stosunku Ruchu w Obronie Pokoju do neutralizmu. Słusznie tak uczynił. Konceptje neutralistyczne zyskują coraz więcej zwolenników w wielu krajach, a ten ich rozwój stanowi ważny czynnik sytuacji międzynarodowej.

Ewolucja polityki amerykańskiej stanowi główną przyczynę tego stanu rzeczy. Można by powiedzieć, że w ciągu ostatnich tygodni wszystkie przemówienia generała Eisenhowera, wszelka inicjatywa i posunięcia Fostera Dullesa były wodą na młyn neutralistów.

Nasze pismo nie jest pismem neutralistycznym. Nasze stanowisko jest dosyć bliskie temu, co tak wyraził Ilja Erenburg: „Nasze zrozumienie szlachetnych celów walki o pokój i dążenia neutralistów mogą się czasem różnić, ale z chwilą gdy neutraliści występują przeciw siłom agresji, pozdrawiamy ich, popieramy i idziemy wraz z nimi”.

Zachodzi pytanie, jaką rolę może odegrać neutralizm w walce w obronie pokoju.

NAJPIERW spróbujmy umiejscowić i zrozumieć neutralizm. Słowo to może oznaczać bądź stan umysłu, bądź politykę.

Neutralistyczny stan umysłu jest to, według Erenburga, stan umysłu „ludzi rozważnych, którzy obawiają się konsekwencji awanturniczych sojuszków. Jeszcze przed kilku laty wielu z nich wierzyło w groźbę agresji radzieckiej. Widząc, że zostali oszukani, widząc, że narodom Europy zachodniej oferuje się najpierw na wpół żebracze warunki bytowania, potem los Hiroszimy, ci patrioci z różnych krajów zaczynają zastanawiać się nad sposobami wydostania się z sidła paktu atlantyckiego”. Ten opis jest prawdziwy zarówno jeżeli chodzi o narody Europy zachodniej, jak i kraje Środkowego i Dalekiego Wschodu, o kraje Ameryki Łacińskiej i inne obszary świata.

Tak więc neutralista to człowiek na drodze ewolucji, lub, jeśli chcecie, leczący się z zatrucia. Neutralista jest coraz bardziej niespokojny. Zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, które wynika z podziału świata na dwa bloki. Nierozważne kroki — żeby nie powiedzieć więcej —

polityki amerykańskiej i perspektywy remilitaryzacji Niemiec — zarówno stopniowo doprowadziły do zrewidowania sądów i przekształcenia koncepcji.

Ponieważ neutralizm nie jest ściśle zdefiniowaną doktryną, lecz ewolucją i stanem umysłu, przeto składa się on z nieskończonej liczby odcieni. Jest się neutralistą w mniejszym lub większym stopniu i istnieją różne rodzaje neutralistów. Niektórzy z nich stoją blisko nas i jak zauważył Ilja Erenburg „najbardziej dalekowzroczni neutraliści rozumieją, że tylko porozumienie między wielkimi mocarstwami zapewni prawdziwe bezpieczeństwo wszystkim narodom, zarówno wielkim jak i małym“. Ci nie wahali się przybyć do Wiednia. Inni są bardziej nieśmiali i okazują więcej rezerwy. Zachowują pewne ostrożności i zostawiają sobie pewne furtki. W istocie, neutralizm zaczyna się wraz z oporem przeciw uniesieniom i nierozważnym krokom polityki amerykańskiej i w tym sensie można powiedzieć, że wielu zachodnich mężów stanu, oficjalnie potępiających neutralizm, weszło już na drogę neutralizmu. Kiedy rząd brytyjski oświadcza, że sprzeciwi się blokadzie Chin, działa neutralistycznie, sam o tym nie wiedząc — chociaż w stopniu niezmiernie małym.

Ale skoro neutralista wszedł na drogę ewolucji, nie zgadza się nigdy na usunięcie różnic, które go od nas dzielą. Nawet, kiedy działa wraz z nami, chce być różny od nas. To ostatecznie jego sprawa; najważniejsze, że jego działalność przyczynia się do ocalenia pokoju.

ZBADAWSZY stan umysłu neutralisty, rozważmy politykę neutralistyczną. Znajdujemy się tutaj na innej płaszczyźnie, na płaszczyźnie realności. Polityka neutralistyczna, która nie jest koniecznie polityką ścisłej neutralności, odpowiada niektórym krajom, a w szczególności niektórym warunkom, określonym przez geografję i historję. Leży ona u podstaw niepodległości narodowej i współpracy międzynarodowej, ale kładzie większy nacisk na pierwszy z tych dwóch czynników i, jak powiedział Erenburg, „neutralizm jest jednym z symboli walki narodów o niepodległość“. Jego dewizą mogłoby być przysłowie francuskie, którego nasz przyjaciel użył jako konkluzji w swym przemówieniu w Wiedniu: Węglarz jest gospodarzem we własnym domu.

Ta polityka odpowiada zwłaszcza — należałoby powiedzieć: odpowiadałaby zwłaszcza — krajom położonym między Wschodem a Zachodem nie tylko w sensie położenia geograficznego, ale przede wszystkim z punktu widzenia ideologii, to znaczy krajom, których opinia publiczna nie może się wcale pogodzić ani zjednoczyć, pomijając stadium neutralizmu. W każdym razie neutralizm stanowi najdogodniejszy teren porozumienia dla różnych elementów. Spójrzmy na przykład na sytuację polityczną Francji, Niemiec zachodnich, lub Włoch. W istniejących warunkach społecznych, gospodarczych i politycznych tych kra-

jów, trudno jest przewidzieć w obecnym stanie rzeczy nagły zwrot kierunku i radykalną zmianę ich polityki zagranicznej; ten przewrót i ta modyfikacja zakładaliby odmienne warunki społeczne i odmienną politykę. Ale w obecnych ramach, gdyby wzrósł nacisk i błędy polityków amerykańskich, można wyobrazić sobie i łatwiej podnieść na wyższy stopień ducha narodowego, prowadząc do ciągłej i stopniowej zmiany orientacji polityki zagranicznej w kierunku bardziej sprzyjającym sprawie pokoju.

TAK więc neutralistyczny stan umysłu i polityka neutralistyczna mogą odegrać ograniczoną ale decydującą rolę w walce o pokój.

Rola ta musi być najpierw negatywna. Składa się na nią odmowa brania udziału w zimnej wojnie i w każdej wojnie w ogóle. Aby zdać sobie sprawę ze znaczenia takiej roli, wystarczy wyobrazić sobie, jaki byłby świat, gdyby państwa Europy zachodniej i Środkowego Wschodu odmówiły oddawania swych baz i swych żołnierzy do czyjejkolwiek dyspozycji.

Rola ta może stać się pozytywna. Z neutralizmu defensywnego łatwo się przechodzi do współpracy z tymi, którzy pracują nad wytworzeniem najbardziej sprzyjających warunków dla pokojowego współistnienia najbardziej różnych ustrojów. Neutralista, to człowiek na drodze ewolucji; zaczyna od sprzeciwiania się wciąganiu go w „sidła“ awanturniczych sojuszków i przez samą logikę swego neutralizmu zgadza się popierać rokowania i porozumienia, które mogą umocnić pokój. To znaczy, że neutralista przyjmuje ideę konferencji czterech wielkich mocarstw dla spraw Europy i konferencji pięciu wielkich mocarstw dla spraw światowych.

Czy wynika z tego, że wszyscy neutraliści są zgodni we wszystkich punktach z Ruchem w Obronie Pokoju? Na pewno nie. Niebezpieczeństwo pewnego typu neutralizmu polega na chęci utrzymania równowagi między dobrym i złym i na odmawianiu zajęcia stanowiska.

Polega to również na wierze w istnienie, lub możliwość istnienia trzeciej międzynarodowej siły, którą, jak dowiodło doświadczenie, może być jedynie pułapka, lub jedynie złudzeniem.

Faktem jest, że neutralizm jest etapem w toku ewolucji. Pochwalamy neutralizm o tyle, o ile pozwala on przyczynić się do otrzeźwienia opinii publicznej i zahamować bieg ku przepaści. W stosunku do Ruchu w Obronie Pokoju neutralizm znajduje się w połowie drogi. To lepiej, niż gdyby stał na jej początku. Żywimy zawsze nadzieję, że któregoś dnia neutraliści przyjdą aż do nas — ku wyżynie skąd widać wschodzące słońce i rozśpiewany horyzont.

PRZECIW PROPAGANDZIE WOJENNEJ

CLAUDE MORGAN

HOLANDIĘ nawiedziła największa w jej historii katastrofa. Rozpacz szerokich mas osiągnęła szczytowe nasilenie. We wszystkich wielkich miastach Europy zachodniej tysiące szlachetnych ludzi wysyłało paczki dla ofiar powodzi. Tysiące rodzin zaofiarowały się przyjąć pod swój dach bezdomne dzieci.

Narody są zawsze czułe na nieszczęście.

Jak się to jednak dzieje, że ci sami szlachetni ludzie okazali się na ogół o wiele mniej wstrząśnięci masakrami w Korei?

Nieprawdą jest, że wrażliwość na nieszczęście może się pogłębiać jedynie w niektórych wypadkach, w innych zaś wcale się nie przejawia.

Jedyną przyczyną szukać należy w tym, że prasa opublikowała — jak było jej obowiązkiem — wielką ilość poważnych artykułów, że zamieściła dużo wzruszających zdjęć, przedstawiających sceny dokonanego przez powódź spustoszenia Holandii, że natomiast ta sama prasa nie spełniła tego samego zadania, jeżeli chodzi o informowanie czytelnika o wojnie w Korei

W pierwszym wypadku dziennikarze przedstawili tragiczne sceny w bezpośredni i wstrząsający sposób. W drugim wypadku — masakr w Korei — bądź pokryli je zasłoną milczenia, bądź też ograniczyli się do schematycznego opisu, wypranego z wszelkiego zabarwienia uczuciowego. To spowodowało, że ludzie nie zdają sobie sprawy z rzeczywistości i że ta rzeczywistość — zamaskowana przez dziennikarzy — ujawnia się w abstrakcyjnych zwrotach, lub w statystycznych ocenach.

Ten kontrast świadczy jednocześnie o niezwyklej potędze prasy, o olbrzymiej odpowiedzialności dziennikarzy i o skuteczności propagandy wojennej.

Czy zadawaliście sobie pytanie, na czym polega propaganda wojenna? Niektórzy wyobrażają sobie, że propagandę tę robi się jedynie przy pomocy artykułów. W rzeczywistości propaganda wojenna jest znacznie bardziej złożoną maszynериą. Istotnie, nieraz polega ona na gloryfikowaniu wojny, ale jeszcze częściej działa drogą umyślnego pomijania, oraz skracania i schematyzowania informacji. Najbardziej niebezpieczny rodzaj tej propagandy wojennej — to kiedy zmierza ona do umniejszania wrażliwości ludzkiej na okropności wojny, przysłaniając ogrom cierpień, które wojna niesie człowiekowi.

Jest to wielka sztuka, którą po mistrzowsku kierują wypróbowani specjaliści. Sprawia ona, że szlachetni ludzie, cierpiący prawdziwie i głęboko, kiedy Ocean, rozsadzając tamy, zalewa miasta i unosi domy, nie odczuwają *identycznego* cierpienia, kiedy wojna niesie *identyczne* niebezpieczeństwa.

Tak więc trzeba przyznać, że prasa w wielu krajach nie przedstawiła w sposób dostatecznie przejmujący grozy płonącego napalmu, stłoczenia w ruinach, gęsto upchanych setkami tysięcy ocalałych, których liczba z dnia na dzień maleje, a jeszcze mniej — zdradzieckiej wojny bakteriologicznej.

Propaganda wojenna działa również drogą zaciemniania przyczyn. Wszystko składa się na karb losu. Wracając do katastrofy w Holandii, mówią nam, że akcja ratownicza przyniosła pierwszy dowód solidarności atlantyckiej, ponieważ wzięli w niej udział żołnierze różnych armii. Ale najmniejsza choćby troska o uczciwe informowanie czytelnika powinna była nasuwać dziennikarzom pytanie, dlaczego tamy nie wytrzymały naporu wód? Dziennikarze powinni byli przypomnieć ostrzeżenia, zamieszczone w 1947 r. przez rzeczoznawcę T. Huitema w książce p. t.: „Tamy wzdłuż morza, rzeki i kanały“, która pozwala przewidzieć katastrofę.

Opierając się na danych bardzo znanych specjalistów, jak byłego wicedyrektora holenderskiego Instytutu Meteorologicznego Gallé, pisał on, że należałoby znacznie podnieść wysokość grobli i przyznać poważniejsze kredyty na ochronę ziem, położonych poniżej poziomu morza, których powierzchnia zajmuje trzecią część terytorium Holandii.

Uczciwa informacja wymagała wskazania prawdziwej przyczyny, którą nie jest złośliwy los (od dawna przewidywano możliwość jednoczesnego wystąpienia przypływu i silnej burzy z północnego zachodu), ale właśnie zużycie kredytów na przygotowania wojenne z zaniedbaniem bezpieczeństwa kraju.

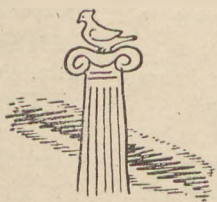
Tak samo w wielu krajach, gdzie państwo nie dba o budownictwo mieszkaniowe, wiele domów wali się ze starości na głowy mieszkańców. Nie jest to wina losu, ale przygotowań wojennych.

Jak przywrócić prawdę? Jak przeciwstawić się tej sieci informacji zniekształconych przez wytrawną i groźną propagandę wojenną? Jak ukazać szlachetnym ludziom cierpienia, które przynosi wojna? Te cierpienia, które wojna powoduje zanim jeszcze wybuchnie?

Jest na to sposób, który przewyższa wszystkie inne. Wymaga on udziału wszystkich ludzi dobrej woli. Jest to propaganda prawdy, podawanej bezpośrednio z ust do ust. To akcja setek tysięcy ludzi, którzy dla obrony pokoju argumentują i perswadują. Czy w waszej dzielnicy, w waszym miasteczku, wokół was, w waszym mieszkaniu, w małej grupce waszych przyjaciół zrobiliście wszystko, co było w waszej mocy, by objaśnić opinię publiczną? Kiedy buty hitlerowców miażdżyły niemal całą Europę, propaganda prawdy mogła się wypowiadać jedynie w podziemnych gazetkach o niskim nakładzie. A jednak prawda krążyła z ust do ust poprzez całą Europę.

Najbardziej skuteczną akcją przeciw propagandzie wojennej jest ta, w której wszyscy mogą brać udział, rozpowszechniając prawdę przy pomocy wszelkich możliwych środków. Jest to kwestia pomysłowości, osobistej inicjatywy, codziennej wytrwałości i odwagi.

Celem naszego pisma jest właśnie pomóc wam, dostarczając dokumentacji, przedstawiając wam fakty i argumenty. Bylibyśmy szczęśliwi, gdyby czytelnicy nasi pisali do nas w tej tak ważnej sprawie, jaką jest propaganda wojenna, przedstawiali nam swe propozycje, informowali nas bieżąco o swoich wysiłkach. To nam dostarczy cennych wskazówek.



Spotkanie z PASTOREM NIEMÖLLEREM

NASZE pismo zawsze poświęcało wiele uwagi akcji pastora Niemöllera. Jego autorytet moralny wyrosł z bohaterskiej walki w Niemczech przeciw zwycięskiemu wówczas hitleryzmowi. Dzisiaj pastor Niemöller poświęca wszystkie swe siły walce o pokój. W swoim czasie zamieściliśmy wywiad, którego pastor Niemöller udzielił sławnemu dziennikarzowi amerykańskiemu Albertowi Kahnowi w czasie niedawnej podróży do Stanów Zjednoczonych.

Pastor Niemöller przybył do Paryża wraz z delegacją z Niemiec zachodnich, w skład której wchodził: Wilhelm Elfes, b. burmistrz München - Gladbach, profesor Hermann, przewodniczący Stowarzyszenia dla Współpracy wszystkich ofiar wojny, dr Texter, członek ruchu Pax Christi. Celem tej delegacji było wezwanie różnych ugrupowań politycznych, by nie zgodziły się na ratyfikację układów z Bonn i z Paryża.

Oto co nam powiedział pastor Niemöller w czasie rozmaitych spotkań, kiedy mieliśmy przyjemność i zaszczyt zadawać mu pytania i słuchać jego wypowiedzi.

ROZMOWY SĄ KONIECZNE

Nawiązaliśmy rozmowy z wieloma osobistościami z różnych środowisk. Gotowi jesteśmy porozumieć się z przedstawicielami wszystkich grup od skrajnej prawicy do skrajnej lewicy.

Dzisiaj każdy mówi, że chce pokoju. Ale ciekawą rzeczą jest stwierdzić, jak wiele trudności sprawia rozmowa z przeciwnikiem, z którym chciałoby się dojść do porozumienia. Dlatego tyle wysiłków, zmierzających do zachowania pokoju, kończy się monologiem. Jeżeli chcę zawrzeć pokój — to z tym, który nie jest ze mną całkowicie w zgodzie. Jeżeli chcemy osiągnąć pokój w

Europie, musimy się starać nawiązać rozmowy między przedstawicielami sprzecznych poglądów.

Dlatego ja, który nie jestem komunistą, chętnie rozmawiam z komunistami. Dlatego ja, który jestem człowiekiem Zachodu, rok temu, jak wiecie, udałem się do Moskwy.

W kilka miesięcy potem pojechałem do Stanów Zjednoczonych. Tej zimy wybrałem się do Indii.

Wierzę, że trwały pokój można osiągnąć tylko wtedy, kiedy takie rozmowy odbywać się będą między wszystkimi ludźmi różnych poglądów, pragnącymi porozumienia. Wstępnym warunkiem

jest wzajemne zaufanie. I chciałbym móc ocenić moją działalność jako wkład do stworzenia atmosfery tego zaufania. To zadanie w warunkach świata podzielonego jest zadaniem ciężkim, nad którym pracuje zbyt mała jeszcze ilość ludzi.

NAJSTRASZLIWSZA JEST WALKA MIĘDZY BRAĆMI

Dlaczego przeciwni jesteście układom z Bonn i z Paryża? Dlatego, że układy te, gdyby je wprowadzono w życie, oznaczałyby pogłębienie rozbicia narodu niemieckiego. Oznaczałyby nowe obciążenia dla Niemców po jednej i po drugiej stronie. Oznaczałyby pogłębienie sprzeczności między Zachodem i Wschodem. Jesteśmy przeciwni tym układom dlatego, że naszym zdaniem nie mogą one przynieść żadnego rozwiązania obecnych problemów. Wprost przeciwnie — spowodowałyby one powstanie nowych i trudnych problemów.

Bardzo potrzebna nam jest przede wszystkim prawdziwa i mocno ugruntowana demokracja, ale nie jest nam potrzebna armia. Jeżeli uzbroi się Niemców — to w tym celu, by ich rzucić jednych przeciw drugim. Jest to oczywiste od dziewięciu miesięcy. Remilitaryzacja nie może prowadzić do niczego dobrego. Żadna walka nie może być równie straszna, jak walka między braćmi.

Na berlińskiej konferencji o pokojowe rozwiązanie problemu niemieckiego spotkali się niemieccy delegaci z Zachodu i ze Wschodu. Zgodnie wypowiedzieli się oni przeciw remilitaryzacji Niemiec i osiągnęli porozumienie co do perspektyw pokojowego zjednocze-

nia Niemiec. Wybaczycie mi, jeżeli ja, jako Niemiec, uważam to oświadczenie, złożone przez Niemców za jeszcze ważniejsze, niż oświadczenie przedstawicieli piętnastu narodów Europy.

Sądzę, że zjednoczenie może się dokonać jedynie przy czterostronnej gwarancji międzynarodowej. Pozwólcie mi dodać: naród niemiecki świadomy jest, że musi się wkupić do rodziny narodów. Ta świadomość jest o wiele silniejsza, niż wynikałoby z lektury gazet.

Jako pastor i jako człowiek rożny ślający nad problemami ludzkimi, nieustannie spotykam się z wyrazami tego uczucia. Sądzimy, że ta międzynarodowa gwarancja może nam pomóc w zajęciu w łonie narodów naszego mejsca jako narodu pokojowego.

Spędziłem kilka lat w hitlerowskim obozie koncentracyjnym. Widziałem, jak obok mnie zabijano tysiącami chrześcijan i Żydów i czuję się odpowiedzialny wobec rodzaju ludzkiego za to, aby takie okropności nie mogły się powtórzyć. A mam wrażenie, że to co się obecnie dzieje, może doprowadzić do tego, że się znowu rozpoczną.

NARÓD NIEMIECKI A BEZPIECZENSTWO INNYCH NARODÓW

Naród niemiecki przeciwny jest ratyfikacji obu układów. Najlepiej dowodzi tego fakt, że koła rządowe nie pozwalają na odbycie w związku z tym referendum ludowego.

Co do ratyfikowania ich przez nasz parlament, jeżeli naprawdę dojdzie do głosowania, bardzo możliwe, że w Bundesracie znajdzie się większość, która doprowadzi do ratyfikacji. Ale

jeżeli nie dojdzie do głosowania, o wiele silniejsza większość odetchnie z prawdziwą ulgą.

Pastor Niemöller rozmawiał w czasie swej krótkiej wizyty z wieloma osobistościami francuskimi. Odbiwał spotkania z pastorami, a potem udał się do Zgromadzenia Narodowego, gdzie został oficjalnie przyjęty przez polityków z różnych partii, z których niektórzy opowiadają się za ratyfikacją uktadów z Bonn i z Paryża, jakkolwiek uważają je za „niedoskonałe i niebezpieczne“, gdyż nie wiedzą jeszcze, czym by je można zastąpić. Wypełnił więc swój

program, na który składały się dyskusje z ludźmi o odmiennych od jego poglądach. W chwili odjazdu oświadczył przedstawicielowi naszego pisma, który go pytał o wrażenia z pobytu we Francji:

— Nie będę się rozwodził nad wdziękiem i gościnnością Paryża, bo znam Paryż. Ale najbardziej uderzyło mnie to, że, jak stwierdziłem, ludzie po obu stronach, którzy mają te same troski i te same zainteresowania polityczne, Francuzi czy Niemcy mogą się natychmiast porozumieć i bez przygotowań przystąpić do sedna sprawy. Bardzo wysoko cenię te szczere rozmowy

LOGIKA ZGODNA Z GEOGRAFIA

„Wyobraźcie sobie sytuację, w jakiej znajdują się Niemcy.

Mówiono im zawsze: jesteście wielkim narodem, ale niestety jesteście niepoprawnymi militarystami.

Toczyły się dwie wojny, by oczyścić Niemcy z ich militarystwu.

A w 1945 r. naród niemiecki był przeświadczony, że militarystwu został obalony na zawsze.

W trzy lata potem, ci sami, którzy walczyli z niemieckim militarystwem, zaczęli go zbroić.

Oto sytuacja psychologiczna, której naród niemiecki w żaden sposób nie potrafi zrozumieć.

Jesteśmy w sercu Europy. Mamy również blisko Związek Radziecki i uważamy za słuszne nie wiązać się paktem wojskowym ani z Zachodem, ani ze Wschodem.

Tego wymaga nasze położenie geograficzne...”

(Z oświadczenia Wilhelma Elfesa, b. burmistrza München. Gładbach, złożonego 18 lutego 1953 r. w Paryżu).

POKOJ jest niepodzielny

GORDON SCHAFFER

JAK na skinienie czarodziejskiej pałeczki dyrygenta dzienniki brytyjskie poczęły opiewać chwałę nowej, a przecie oklepanej wiadomości. Oznajmiły one swym czytelnikom, że rząd Stanów Zjednoczonych postanowił przeprowadzić blokadę

Chin, a teraz pomrukują i pozwalają przypuszczać, że Stany Zjednoczone „nie mogą angażować się same”.

Autorem tego zdania: „*Stany Zjednoczone nie mogą angażować się same*” jest generał Mac Arthur. Wygłosił je w odpowiedzi na zapytania Komisji Senackiej, ujawniając koszmarną obawę Ameryki, że jej skądinąd mało entuzjastyczni sojusznicy mogą odmówić rzucenia się w zainscenizowane w Waszyngtonie awantury. Było to tuż po zdymisjonowaniu Mac Arthura przez prezydenta Trumana. Przedstawił on w Komisji Senatu opracowany przez siebie plan. Rzucić wojska Czang Kajsze, uzbrojone przez Stany Zjednoczone na kontynent chiński.

Generał Mac Arthur znał postawę amerykańskich matek, kiedy zabiera im się synów, by ich wysłać na wojnę. podkreślił przeto, że piechota amerykańska nie będzie potrzebna. Ale zapytany przez Komisję, jaką rolę odegra liby w tym głupim wybryku sojusznicy, nie wiedział co odpowiedzieć i musiał przyznać, że bez ich poparcia wszelka tego rodzaju ofensywa byłaby skazana na niepowodzenie.

Te same wahania rozpoczęły się wtedy, gdy Truman dopuścił się w czasie pewnej konferencji prasowej starannie obmyślanej niedyskrecji i oznajmił, że Stany Zjednoczone przewidują użycie bomby wodorowej na Dalekim Wschodzie.

Jeżeli damy wiarę pamiętnikom senatora Vandenberg (wydanym w Stanach Zjednoczonych przez firmę wydawniczą Houghton, Mifflin and Co) Wielka Brytania miała w styczniu 1948 roku zwolnić Stany Zjednoczone z uchwytnej przez Roosevelta obietnicy, „aby nigdy nie użyć broni atomowej przeciw jakiegokolwiek innemu państwu bez zgody Wielkiej Brytanii”. Był

to jeden z warunków, narzuconych dla otrzymania pomocy marshallowskiej.

Stąd, kiedy Truman zagroził użyciem bomby atomowej, wierzył bez najmniejszej wątpliwości, że on sam ma prawo podejmowania decyzji. Naród angielski stał na zupełnie odmiennym stanowisku. Mniej więcej połowa parlamentarzystów z ramienia Labour Party w Izbie Gmin podpisała list do ówczesnego premiera Attlee. W liście tym wyluszczała oni, że nigdy nie zgodzą się na podjęcie takiej decyzji. I Attlee przebył Atlantyk, aby uprzedzić prezydenta Trumana, że gdyby użył bomby atomowej „Ameryka musiałaby zaangażować się sama”.

Dzisiaj narody krajów, na które Ameryka liczy w swych planach wywołania nowej wojny, z jeszcze większą gwałtownością występują przeciw wędzaniu ich na drogę nowych nieszczęść. W Wielkiej Brytanii sprzeciw, który podniósł się po oznajmieniu przez Eisenhowera, że obecnie droga z Tajwanu do ataków Czang Kai-szeka przeciw Chinom stoi otworem, zapoczątkował nowy rozdział w historii okresu powojennego.

Po raz pierwszy od 1945 r. Wielka Brytania publicznie odrzuciła politykę, ogłoszoną przez Waszyngton. Eden w imieniu rządu i Morrison w imieniu Partii Pracy zaprotestowali i wyrazili odmowę.

Prawda, że Eden starał się złagodzić gwałtowność swego pierwszego protestu w ciągu najbliższej debaty w Izbie Gmin, a Morrison nie umiał pobudzić Partii Pracy do kampanii sprzeciwu. Ale pierwsza iskra wzniciła pożar. Wystarczyła jedna tylko iskierka, by gniew i obawy narodu wobec ewolucji

polityki amerykańskiej wybuchły w biały dzień i przerodziły się w ruch protestacyjny.

W dniu 4 lutego najbardziej prawicowy dziennik londyński, „Daily Mail” oświadczył: „Z chwilą, gdy na scenę wchodzi Formoza, sprawa Narodów Zjednoczonych utożsamia się ze sprawą Czang Kai-szeka, który nie cieszy się żadnym absolutnie zaufaniem ani w naszym kraju, ani w swoim własnym. Taki sojusz naraża front Narodów Zjednoczonych na rozbitcie. Być może, że to właśnie miał na myśli Eden, kiedy oświadczył, że ten nowy krok będzie miał godne pożałowania skutki polityczne, nie przynosząc w zamian korzyści wojskowych...”

Cummings, karykaturzysta z „Daily Express”, znany ze swych reakcyjnych rysunków, przedstawił głowę Czang Kai-szeka w kształcie wazy chińskiej, do której Eisenhower wlewa nieustannie strumień dolarów.

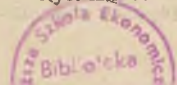
Woodrow Wyatt, poseł, były podsekretarz stanu w ministerstwie wojny gabinetu labourzystowskiego i jeden z zagorzałych obrońców anglo - amerykańskiego sojuszu, przypominał w artykule, zamieszczonym na łamach „Daily Herald” swą podróż do Stanów Zjednoczonych i dodał: „Zauważyłem, że większość ludzi w Stanach Zjednoczonych, a w szczególności prawie wszyscy republikanie doszli do tego punktu, w którym nie interesują się już poglądami, wyrażanymi przez Wielką Brytanię i innych sojuszników Ameryki na temat słuszności, lub błędów amerykańskiej polityki”.

Fakt, że Eisenhower nie wziął pod uwagę sprzeciwu rządu brytyjskiego w sprawie deneutralizacji Tajwanu wy-



W cyrku zachodnio - europejskim: Churchill nie chce, aby lew brytyjski skakał, jak mu każe J. F. Dulles.

Rys. André François



rażnie wykazuje, w jakim punkcie znajdują się Stany Zjednoczone i jakie jest ich stanowisko. Podejmując tę decyzję, Eisenhower odepchnął od siebie miliony Azjatów. W swym przemówieniu, wygłoszonym po objęciu prezydentury, Eisenhower dał do zrozumienia, że woli wskazywać sprzymierzeńcom Ameryki, co powinni robić, aniżeli porozumiewać się z nimi dla opracowania wspólnej polityki... Trzeba przypomnieć nowej administracji, że sojusznicy są jej potrzebni w takim samym stopniu, w jakim Stany Zjednoczone potrzebne są swym sojusznikom.

Dzienniki i politycy, którzy dotąd zawsze popierali politykę współpracy ze Stanami Zjednoczonymi, wyrazili naturalnie swe zarzuty z większą niechęcią niż złością, ale inni wypowiadali się z całą szczerością. I tak E. J. Hill, sekretarz związku zawodowego kotlarzy i członek Rady Głównej T. U. C. (Trade Union Council — Rada Brytyjskich Związków Zawodowych), napisał bez ogródek do członków swego związku: „*Postawa amerykańskiego rządu republikańskiego jest w obecnej chwili wroga wobec naszego kraju*”.

J. Figgins, sekretarz związku zawodowego kolejarzy i również członek Rady Głównej T. U. C. oświadczył na łamach swego pisma związkowego, że „*dyktatorska postawa*” Foster Dullesa i Stassena podczas ich pobytu w krajach zachodnio - europejskich „*winna dać do zrozumienia naszemu narodowi, jak wielkie niebezpieczeństwo mu zagraża*”.

Z fabryk, z oddziałów związków zawodowych, z sekcji Partii Pracy jak również z lokalnych komitetów obrońców pokoju napłynęła fala rezolucji. Naród angielski nie chce dać się wciąż

gnać w wojnę, prowadzoną w imię interesów Czang Kai-szeka i waszyngtońskich zwolenników agresji na Dalekim Wschodzie.

Incydent z Tajwanem spowodował psychologiczne przemiany w postawie wielkiej ilości brytyjskich mężczyzn i kobiet.

Dotychczas dziesiątki milionów ludzi, pragnących pokoju, wierzyły w propagandę prasy i radia, które im powtarzały, że zbrojenia i sojusz atlantycki są środkami obronnymi przed agresją Związku Radzieckiego i jego sprzymierzeńców. Zgadzały się również z poglądem, że wojna w Korei, to akcja zastosowana przez ONZ przeciw agresji. Akcja podobna do tej, jaką byłyby poparły przed drugą wojną światową dla ocalenia republiki hiszpańskiej.

W celu uspokojenia członków Partii Pracy, których krępował sojusz z kapitalistycznym ustrojem w Stanach Zjednoczonych, opublikowano urzędowe dokumenty, głoszące, że administracja Trumana wyraźnie zbliża się do „*reżimu socjaldemokratycznego, do reżimu postępu społecznego*”.

I oto w ciągu kilku dni Eisenhower obalił te wszystkie legendy. Wypowiedział układy, które Roosevelt ratyfikował w Jaltie. Naród angielski wie dobrze, że akt taki pociąga za sobą możliwość rzucenia sił zbrojnych przeciw Polsce i Czechosłowacji, by oderwać od nich dawne ziemie niemieckie.

Eisenhower ogłosił, że wojny w Korei, na Malajach i w Indochinach są jednym i tym samym. Otóż wielu Anglików zaczęło badać dokumenty w sprawie początków wojny w Korei i coraz mniej przekonują ich tezy, podtrzymywane w Londynie i w Waszyngto-

nie. Wiedzą oni również, że wojny w Indochinach i na Malajach to wojny kolonialne przeciw narodom tych krajów.

Eisenhower poparł zatem otwarcie Czang Kai-szeka i siły, które domagają się wojny interwencyjnej przeciw Chińskiej Republice Ludowej. Wszystkie elementy gry znajdują się na swoim miejscu. Sojusz z hitlerowskimi generałami, sojusz z Czang Kai-szekiem, sojusz z frankistowską Hiszpanią. I jeszcze przygotowania do wojny interwencyjnej.

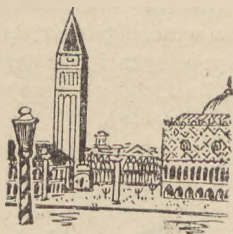
Brytyjska klasa robotnicza pamięta ostatnią wojnę interwencyjną, kiedy to 14 krajów wspierało Denikina, Kołczaka i innych carskich generałów, równie zhańbionych jak Czang Kai-szek. Brytyjska klasa robotnicza stworzyła wówczas komitety i zmusiła swych przywódców do zajęcia stanowiska. Ostatecznie, kiedy dokerzy londyńscy nie dopuścili do wyruszenia „*Jolly George*” z ładunkiem broni dla armii interwencyjnych, zmusiła ona rząd do zaprzestania wojny. Wspomnienie i tradycja

tej walki pozostają jeszcze żywe wśród zorganizowanych robotników.

Ale tym razem pojawiają się nowi sprzymierzeńcy. Brytyjscy businessmeni denerwują się na myśl o utracie Hongkongu i widzą, jak znika im ostatnia szansa skorzystania z nieustannie wzrastających możliwości wymiany handlowej, proponowanej im przez rząd Chin Ludowych. Nie brak także i takich, którzy oświadczają, że wojna na Dalekim Wschodzie nie rokuje żadnych sukcesów. Nie ulega wątpliwości, że ludzie ci śledzą z uwagą rozwój agresywnego przymierza między Turcją, Jugosławią i Grecją.

Kiedy siły pokoju w pełni się rozwijają, kiedy szerokie masy ujrzą, że mogą wziąć sprawę pokoju w swe ręce, rezultaty zmian, spowodowanych incydentem Taiwanu, będą mogły stać się całkowicie skuteczne.

Naród angielski zrozumie, że wojna w Azji jest nierozdzielna od wojny w Europie. Pamiętać będzie słowa, tak często powtarzane w okresie przedwojennym: „*Pokój jest niepodzielny*”.



M A Ł Y L E K S Y K O N

DROGA tzw. „Wspólnoty Europejskiej“ jest tak kręta, że przeciętny śmiertelnik zupełnie się w niej nie rozeznaje. Ułatwia to złapanie go w pułapkę słowa. Wielka Europa, czy Mała Europa — nigdy nie jest to po prostu Europa. Nie wchodząc w dogłębne dociekanie, chcieliśmy odpowiedzieć na pytania wielu naszych czytelników, zamieszczając to, co nazwiemy „Małym Leksykonem Wspólnoty Europejskiej“.

I. Plan Marshalla

W głosowaniu z 3 kwietnia 1948 r. Kongres Stanów Zjednoczonych powołał do życia plan Marshalla pomocy dla Europy, pod przykrywką którego amerykańscy imperialiści realizowali swe plany ujarznienia krajów zachodniej Europy. Plan ten stanowił pierwszy wielki krok w kierunku nowej orientacji, która znalazła swe przedłużenie w formie ujarznienia politycznego, gospodarczego i woj-skowego Europy zachodniej przez USA.

O. E. E. C. (Europejska Organizacja Współpracy Gospodarczej) stworzona została w celu przygotowania i przedstawienia administracji amerykańskiej programów rozdziału kredytów między poszczególne kraje. (1)

Według obłudnego oświadczenia generała Marshalla „Stany Zjednoczone miały dostarczyć, nawet darmo, produktów, potrzebnych krajom europejskim, które ucierpiały na skutek wojny, aby przywrócić światu zdrową gospodarkę“.

E. C. A. Economic Cooperation Administration (Administracja Współpracy Gospodarczej) to nazwa organizacji, powołanej do rozdziału kredytów i kierowania ich wykorzystaniem.

Inne organizmy gospodarcze

Unie Celne. Z inicjatywy Stanów Zjednoczonych zawarto szereg układów, mających na celu obniżenie wszelkich cel ochronnych wobec napływu produktów zagranicznych, a w szczególności amerykańskich. Niektóre z nich spowodowały zmianę przepisów celnych i powstanie organizmów regionalnych, jak Benelux (Belgia, Holandia, Luxemburg), unia celna francusko-włoska (*Francita*), lub anglo-skandynawska (*Uniscan*).

E. P. U. W 1949 r. O. E. E. C. zniósła system licencji i kontyngentowania, zezwalając na wywóz zysków i kapitałów zagranicę. Instytucja, powołana do wprowadzenia wielostronnego systemu licencji i do zacieśnienia więzów handlowych między Europą a Stanami Zjednoczonymi otrzymała nazwę E. P. U. (*Europejska Unia Płatnicza*).

(1) Związek Radziecki i kraje demokracji ludowej odrzuciły tę koncepcję „pomocy“ amerykańskiej. Ich najpoważniejsze zastrzeżenia były następujące: 1) że organ ten stanie się narzędziem amerykańskich dostawców funduszy, 2) że głównym jej celem będzie popieranie odbudowy przemysłowej i remilitaryzacji Niemiec zachodnich. Rzeczywistość w pełni potwierdziła te przewidywania.

„WSPÓLNOTY EUROPEJSKIEJ“

Kartele. Poza planem Schumana (kartel węgla i stali, do którego jeszcze po wrócimy) O. E. E. C. wypracowała pewną ilość projektów, przewidujących utworzenie wspólnych rynków dla samochodów, wyrobów włókienniczych, transportu, produktów sanitarnych (*biały kartel*), produktów rolniczych (*kartel zielony*) itp.

Inne organizacje polityczne i wojskowe

N. A. T. O. Od 1948 r. panuje w Stanach Zjednoczonych pogląd, że plan Marshalla pociąga za sobą również współpracę polityczną i wojskową. Oczywiście amerykańska „współpraca” równa się podporządkowaniu krajów satelickich. Pierwszy krok postawiony został wraz z zawarciem paktu brukselskiego (*Unia Zachodnia*). Do jeszcze ściślejszej unii wojskowej doszło w dniu 4 kwietnia 1949 r. kiedy Francja, Belgia, Holandia, Dania, Wielka Brytania, Kanada, Islandia, Włochy, Luxemburg, Norwegia, Portugalia i Stany Zjednoczone podpisały *pakt północno-atlantycki*. W następstwie powstał organ pod nazwą N. A. T. O. (*North Atlantic Treaty Organisation* — Organizacja paktu północno-atlantyckiego) z siedzibą w Londynie. Dopelnieniem jego był projekt ponadnarodowej armii europejskiej, wysunięty na konferencji w Lizbonie z udziałem dwóch nowych członków N. A. T. O. Grecji i Turcji i zakładający wcielenie armii Niemiec zachodnich.

M. S. A. Skutki zbrojeń postawiły pod znakiem zapytania równowagę gospodarczą Europy zachodniej. Wtedy Stany Zjednoczone przystąpiły do przekształcenia „pomocy gospodarczej” w pomoc wojskową. Na miejsce E. C. A. utworzono 30 grudnia 1951 r. nowy organ — *Mutual Security Agency* (Urząd Wzajemnego Bezpieczeństwa) powołany do dostarczania krajom zachodnio-europejskim produktów, potrzebnych im do ich zbrojeń. W ten sposób opadł ostatni listek Rógowy, przystaniający agresywne cele amerykańskiej „pomocy” dla krajów zmarshallizowanych.

Dalecy jesteśmy obecnie od pierwotnych celów, o których mówił generał Marshall, a pomoc gospodarcza dla krajów zachodnio-europejskich, osłabionych na skutek wojny, doprowadziła do zamknięcia i izolowania Europy zachodniej w żelaznej obręczy. Plan Marshalla wygast 15 czerwca 1952 r. Pozostały tylko rozmaite organy, które wymieniliśmy i które starają się znaleźć swe miejsce w licznych mechanizmach Federacji Europejskiej.

II Rada Europejska

Podczas gdy rodziły się, umierały i przekształcały rozmaite organy, wyłonione z planu Marshalla, przedstawiciele krajów Europy zachodniej, zebrani w Londynie 5 maja 1949 r., kładli swe podpisy pod Statutem, którego jedyny egzemplarz złożony jest w archiwach rządu Wielkiej Brytanii. Rada Europejska natychmiast założyła swą siedzibę w Strassburgu i powołała do życia rozmaite organy:

Komitet Ministrów. Organ powołany do występowania w imieniu Rady Europejskiej i złożony z przedstawicieli każdego państwa członkowskiego — w zasadzie ministrów spraw zagranicznych z udziałem doradców i rzeczoznawców.

Zgromadzenie Doradcze. Organ złożony z przedstawicieli, wyznaczonych przez parlamenty poszczególnych państw. Zgromadzenie Doradcze składa się z określonej liczby komisji, z których najważniejsza Komisja Stała, reprezentuje je w okresach między sesjami.

Komitet Mieszany. Zadaniem tego organu jest koordynacja prac między Komitetem Ministrów a Zgromadzeniem Doradczym. Wreszcie przy Radzie Europejskiej akredytowani są stali przedstawiciele, zależni od swych rządów.

III. Kartel węgla i stali

Widzieliśmy jak O. E. E. C. opracowała szereg projektów gospodarczych, wychodzących poza ramy gospodarki narodowej poszczególnych krajów. Pierwszym takim projektem była Europejska Wspólnota Węgla i Stali zwana również planem Schumana, którą weszła w życie 10 lutego 1953 r.

Jej cele — wprowadzenie wspólnego rynku dla sześciu uczestniczących krajów (Francja, Niemcy zachodnie, Włochy, Belgia, Holandia, Luxemburg) drogą zniesienia przepisów celnych i ograniczeń ilościowych. Kartel węgla i stali, powstały z O. E. E. C. posiada swą własną organizację. Główną rolę w tym kartelu odgrywać będą monopole zachodnio-niemieckie, faworyzowane przez USA.

Wysoki Urząd jest to władza wykonawcza, którą sprawuje dziewięciu członków. Reguluje on produkcję, wyznacza ceny, kontroluje inwestycje, płace i siłę roboczą. Fundusze czerpie on z sum pobieranych z produkcji węgla i stali.

Rada Ministrów. Składa się z przedstawicieli każdego rządu, na ogół z ministrów uczestniczących w Komitecie Ministrów Rady Europejskiej. Rada Ministrów odgrywa rolę łącznika między Wysokim Urzędem a państwami członkowskimi.

Wspólne Zgromadzenie. Składa się z delegatów, mianowanych przez parlamenty. Do jego zadań należy wydawanie opinii, może ono zmusić Wysoki Urząd do złożenia dymisji. Jest ono odpowiednikiem Zgromadzenia Doradczego Rady Europejskiej.

Trybunał Rozjemczy składa się z siedmiu sędziów, mianowanych przez rządy krajów członkowskich. Jako ponadnarodowa władza sądownicza, Trybunał Rozjemczy może anulować decyzje Wysokiego Urzędu.

Powiązania kartelu węgla i stali z Radą Europejską

Mechanizm Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali wiąże się z mechanizmem Rady Europejskiej. Tak więc 6 ministrów kartelu (Mała Europa) wchodzi w skład komitetu 14 ministrów Rady Europejskiej (Duża Europa). Przedstawiciele wspólnego Zgromadzenia kartelu wybierani są spośród członków Zgromadzenia Doradczego. Organy „europejskie“ mnożą się z dnia na dzień.

Zgromadzenie ad hoc lub Prekonstytuanta powstało z dwóch pierwszych Zgromadzeń i powołało do życia Komisję Konstytucyjną dla przygotowania projektu politycznej zwierzchności europejskiej.

Komisja ad hoc powstała natomiast bezpośrednio ze Zgromadzenia Konsultatywnego Rady Europejskiej i ma za zadanie zbadać projekt wspólnoty politycznej. Mamy zatem przed sobą dwie komisje, z których każda wypracowuje plan zwierzchności ponadnarodowej.

Wreszcie Rada Europejska obarczyła tym samym zadaniem Komitet Prawników.

IV. Europejska Wspólnota Obronna

Dokonując coraz szerszej integracji wojskowej „elementów ludzkich i materialnych“, przedstawiciele sześciu krajów europejskich podpisali 27 maja 1952 r. traktat, wprowadzający w życie Europejską Wspólnotę Obronną, czyli E. W. O. Instytucja ta miałaby prowadzić do stworzenia zachodnio-niemieckich sił zbrojnych, czemu z całą siłą sprzeciwia się europejska opinia publiczna. Dzisiaj dla nikogo nie jest tajemnicą, że zadaniem E. W. O. miało być pośrednie, ale niemniej realne wcielenie odbudowanego Wehrmachtu do sił wojskowych paktu atlantyckiego na użytek amerykańskich planów agresji przeciwko Związkowi Radzieckiemu i krajom demokracji ludowej.

Parlamente krajów Europy zachodniej mają obecnie — na wniosek odnośnych rządów — dokonać ratyfikacji traktatu. Wyjątek stanowi Wielka Brytania, która kategorycznie odmówiła przystąpienia do E. W. O.

Komisariat. Dziewięciu członków, którzy są niezależni od swych rządów, wyposażonych jest we władzę wykonawczą i kontrolną.

Zgromadzenie powołane dla Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali ma za zadanie zbadać problem utworzenia Zgromadzenia dla Wspólnoty Obronnej.

Rada formułuje dyrektywy Komisariatowi. Składa się z przedstawicieli każdego państwa członkowskiego.

Trybunał jest taki sam, jak Trybunał Rozjemczy Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali. Przestrzega on wykonania traktatu.

Zwracamy również uwagę, że specjalny traktat łączy Wielką Brytanię z Europejską Wspólnotą Obronną, której podstawowe jednostki mogą być wcielone do korpusu armii, stworzonej w ramach N. A. T. O.

W istocie bardzo bliskie więzy łączą Europejską Wspólnotę Obronną z Organizacją paktu północno-atlantycznego. Między oboma organami odbywają się konsultacje i wymiana informacji. Wreszcie europejskie siły zbrojne pozostają pod komendą dowódcy, podlegającego bezpośrednio N. A. T. O., którego europejska kwatera główna posiada siedzibę we Francji (S. H. A. P. E. — Supreme Headquarters Allied Powers in Europe). Na czele SHAPE stoi amerykański generał Ridgway, kat narodu koreańskiego.

*

W naszym wstępie mówiliśmy o skomplikowanych mechanizmach. Jednak rysują się już nowe organy i nic nie jest bardziej niejasne dla szerokiej publiczności, jak mechanizm tej Federacji Europejskiej. Dzieje się tak dlatego, że idea Europy — która już doprowadziła do utrwalenia rozbitcia Niemiec i przyspieszyła remilitaryzację Niemiec zachodnich — służy do ukrycia przed oczami niektórych ludzi rzeczywistego oblicza amerykańskiej polityki przygotowania nowej wojny światowej.

SCHEMAT ORGANIZACJI EUROPEJSKICH

	O.E.E.C	N.A.T.O.	Rada Europejska	Europejska Wspólnota Obronna	Europejska Wspólnota Węgla i Stali
AUSTRIA	.	.	.	—	—
BELGIA	.	.	.	.	—
DANIA	.	.	.	—	—
IRLANDIA	.	.	.	.	.
FRANCJA	.	.	.	.	.
NIEMCY					
ZACHODNIE	.	.	.	.	.
GRECJA	.	.	.	—	—
ISLANDIA	.	.	.	—	—
WŁOCHY	.	.	.	—	—
LUXEMBURG	.	.	.	.	.
HOLANDIA	.	.	.	.	.
NORWEGIA	.	.	.	—	—
PORTUGALIA	.	.	.	—	—
SZWECJA	.	—	.	—	—
SZWAJCARIA	.	—	—	—	—
TURCJA	.	.	.	—	—
W. BRYTANIA	.	.	.	—	—
KANADA	—	—	—	—	—
STANY					
ZJEDNOCZONE	—	.	—	—	—

TO JUŻ KIEDYŚ BYŁO...

„Zawsze słyszałem to słowo „Europa“, wypowiedane przez polityków, kiedy zwracali się do innych mocarstw z żądaniami, których nie ośmielali się wysuwać we własnym imieniu“.

Bismarck, 9 listopada 1876 r.

„Tę Europę można było podziwiać jako wielki ideał, który może się urzeczywistnić, jako mającą się przebudzić śpiącą siłę, można było odtworzać etapy jej rozwoju poprzez wieki, ubolewać nad jej niepowodzeniami i błędami. Nie przychodziło jednak na myśl, że można by dla niej umrzeć. Tymczasem ludzie codziennie giną za Europę. Nie tylko za swą ojczyznę, sprzymierzoną z innymi krajami, ale wyraźnie i świadomie za rzeczywistość europejską, która obejmuje kraje ojczyste i w pewien sposób przekracza ich granice. To już poważne domniemanie, że Europa zaczyna istnieć...”

Marcel Déat: „I Europa staje się ojczyzną“, „L'Oeuvre“ z 8 kwietnia 1943 r.

„Na froncie, który rozciąga się od Oceanu Lodowatego po Morze Czarne walczą w prawdziwym koleżeństwie armie, gdzie każdy gotów jest do największych poświęceń, Niemcy i Włosi, Finowie i Rumuni, Węgrzy i Słowacy, hiszpańscy legioniści, ochotnicy z różnych krajów i mówiący różnymi językami. Dają nam jasny przykład moralnej jedności realnej już w tej chwili Europy, która nieustannie rośnie wraz z nowym ładem, ogłoszonym przez naszych wielkich wodzów i przygotowanym dla przyszłości cywilizowanych narodów. Taki jest głęboki sens walki z komunizmem; jest ona symbolem duchowego wzlotu Europy“.

Hrabia Ciano, 25 listopada 1941 r.

„Wierzę, że odrodzenie niemieckiej siły zbrojnej będzie podstawowym elementem pokoju, ponieważ sam fakt jej istnienia zapewni niebezpieczną próżnię w Europie“.

Adolf Hitler, przemówienie z 21 maja 1933 r. w Berlinie.

„Uważam za niezwykle zadowalające, że można doprowadzić narody Europy — przynajmniej w ograniczonych rozmiarach — do zbudowania w zasadzie ich jedności w świecie nowego porządku. Jest to oznaką, że zwolna w najszerszych sferach europejskiej inteligencji rozwija się europejska świadomość. W tej dziedzinie nie czujemy się już jedynie Niemcami, Włochami, Szwedami, Duńczykami, lecz stopniowo zaczynamy myśleć o Europie i zależy nam na tym, by jej bronić“.

Joseph Goebbels, przemówienie z 21 lipca 1941 r. w Berlinie

BERNARD LAVERGNE
YVES FARGE
LEO HAMON
JOSEPH LANET
MAURICE DUVERGER
EDOUARD HERRIOT
ANDRE DENIS

Oto co myślą...

I. O UKŁADZIE, KTÓRY KRYJE W SOBIE ZAMACH NA SUWERENNOŚĆ PAŃSTWA

Układ paryski przewiduje powołanie Komisariatu o charakterze ponad-narodowym, wyposażonego we władzę decydowania, organizowania i kontroli europejskich sił zbrojnych.

BERNARD LAVERGNE, profesor na Wydziale Prawa w Paryżu:

„Ponieważ postanowienia Komisariatu zapadają większością głosów obecnych członków“ (Art. 24), organ ten wyposażony jest w pełnię władzy podejmowania wiążących decyzji we wszystkich sprawach, albo udzielania zaleceń, które „zawierają w sobie zobowiązanie jeśli chodzi o cele, które wyznaczają, lecz pozostawiają tym, do których są skierowane, wybór środków właściwych dla osiągnięcia tych celów“ (Art. 27). Jedynie opinie wydawane przez Komisariat nie są dla rządów wiążące. Nie należy jednak tutaj pozwolić się wyprowadzić w pole. W efekcie, poczynwszy od momentu w którym układ zostałby ratyfikowany przez parlament, sześć państw sygnatariuszy — wyjąwszy najsilniejsze spośród nich — przestałoby istnieć, gdyż wkrótce wszystkie uprawnienia, wykonywane dotąd przez władze wojskowe tych państw, przeszłyby do nowych Komisarzy. Cóż więc pozostałoby z państwa, z chwilą gdy zbiorowość publiczna, pretendująca do tej nazwy, pozbawiona byłaby wszelkiej zdolności obrony, wszelkiej siły materialnej?

Nasuwa się pytanie, jakie zadania nie są powierzone Komisariatowi. Wykaz jego funkcji nie jest bowiem kompletny. Jeśli kiedyś powstanie, Komisariat ten będzie *najstraszliwszym ministerstwem wojny jakie kiedykolwiek istniało w Europie, a może nawet na całym świecie.*

(„Armia, europejską zwaną”)

IVES FARGE, były minister:

Komisariat mianuje wszystkie osoby zatrudnione w europejskich siłach zbrojnych, decyduje o miejscu stacjonowania sił zbrojnych oraz posiada monopol w dziedzinie produkcji, importu i eksportu uzbrojenia.

„...W ten sposób obca władza mianowałaby oficerów francuskich, a prezydent Republiki Francuskiej pozbawiony zostałby prawa mianowania oficerów w stopniach generalskich. Generałowie Guderian i Speidel (lub którykolwiek inny z generałów niemieckich), z chwilą wyznaczenia ich przez Adenauera, uczestniczyliby w rekrutacji poborowych francuskich, w kierowaniu ich wyszkoleniem, w organizacji wszystkich wojskowych szkół i kursów szkoleniowych, w administrowaniu personelem i materiałem francuskim (Art. 74 i art. 78).

...Parlament francuski nie głosowałby już w sprawie czasu trwania służby wojskowej ani w sprawie ustaw dotyczących personelu (pragmatyka personalna, rekrutacja), nie ustalałby już wysokości wydatków wojskowych, ani planu organizacji sił zbrojnych“.

BERNARD LAVERGNE

„Wszystkie te uprawnienia Komisariat wykonywałby wyłącznie pod kontrolą i na rzecz sztabu generalnego atlantyckich sił zbrojnych w Europie, tzw. SHAPE, na którego czele stoi generał Ridgway. A zatem — co od razu wiadać — armia europejską zwaną nie posiadałaby cienia samodzielnej egzystencji. Nie byłaby niczym innym, jak tylko częścią armii atlantyckiej.

Skoro tylko europejskie siły zbrojne dojdą do takiego stanu, że będą mogły być użyte, podporządkowane zostaną Naczelnemu Dowództwu, wyłoniłemu z paktu północno-atlantycznego.

Również na palcach policzyć można liczbę oficerów, zarówno francuskich jak i obcych, którzy ten fakt oczywisty poddają w wątpli-

wość. Nie ulega wątpliwości, że projekt układu, wbrew jego nazwie, posiada cel polityczny, a nie wojskowy.

Państwa członkowskie przekazują Europejskiej Wspólnocie Obronnej „prawo karania przestępstw, które mogłyby być popełnione przez europejskie siły obronne“.

„Gorzej jeszcze. Wszystkie wykroczenia, lub wszystkie przestępstwa popełnione nie tylko przez żołnierzy lub oficerów armii atlantycznej, lecz także przez jej urzędników cywilnych, mężczyzn i kobiety, byłyby ścigane przez trybunały, ustanawiane całkowicie przez Wspólnotę!

„...Wydaje się, jak gdyby marzono o tym, aby ujrzeć jak układ ten w ten sposób zawzięcie niszczy wszelką suwerenność francuską, nawet w dziedzinie, która nie ma żadnego związku z zagadnieniem wojskowym“.

(„Le Monde“ — 22-23 stycznia 1953)

II. O DOMINUJĄCEJ ROLI WEHRMACHTU

LEO HAMON, deputowany z ramienia M.R.P.

Udział Niemiec zachodnich we Wspólnocie Obronnej już z samego tytułu ich przewagi demograficznej, oraz ich potencjału przemysłowego, przewyższałby udział Francji. System głosowania zrównoważonego przyznawałby mianowicie Niemcom 33 proc. głosów, w porównaniu z 23 proc. głosów Francji i 27 proc. Włoch.

„Któż więc wyobraża sobie, że w sprawach wojskowych Ameryka ocenia narody inaczej aniżeli według ich potencjału wojennego i że odmówi sobie faktycznych stosunków bezpośrednich z krajem, który ją najbardziej interesuje?

„Niemcy, podzielone, a przez to samo silne całym potencjałem swych żądań..., stają się w Europie, czy się tego chce czy nie, bardziej interesującym partnerem aniżeli Francja, ograniczona do metropolii liczącej 42 miliony mieszkańców, bez żądań, bez ofensywnej postawy, a nawet skazanej — z uwagi na swe interesy zamorskie — na to, aby oddać do dyspozycji Europy jedynie część swoich wojsk

„W ten sposób włączenie się do armii europejskiej nie tylko nie przyczynia się do uniknięcia trudności wynikających z obecności Niemiec w sojuszu atlantyckim (żądania tery

torialne itd.), lecz przeciwnie, do ich zwiększenia. Szkodzi ono przede wszystkim Francji, dotkniętej w swych ambicjach i skazanej, mocą ustawy, której jej dzieci nie byłyby w stanie pojąć, na to, aby mieszać swoich żołnierzy i (w ewentualnym przypadku) ich krew z żołnierzami kraju, który historia przywykła uważać (tego rodzaju uczucia nie wygasają tak szybko) za stałego wroga, lub też za wątpliwego albo chwilowego sprzymierzeńca. Osłabia się w ten sposób poczucie obowiązku patriotycznego, które jako jedyne skupiało w przeszłości kraj wolny i niejednolity, który, jeszcze bardziej rozbitý aniżeli w roku 1914, tym więcej potrzebuje zbiorowego zapалу, nie mówiąc o tym, że nie ma nic do oddania".

LA NEF
(Numer specjalny poświęcony
problemowi niemieckiemu)

*JOSEPH LANET, deputowany z ramienia
U.D.S.R.¹⁾:*

Zachwianie równowagi musi się odbić ujemnie na Francji, której część sił jest unieruchomiona w Indochinach.

„Przeciwstawia się nam twierdzenie, że wręcz przeciwnie, dodatkowy protokół wojskowy do układu utwierdza supremację Francji, gdyż przewiduje, że Francja będzie posiadała więcej jednostek (tzn. dywizji) aniżeli Niemcy. Faktycznie, wkład francuski będzie wynosił 15 jednostek, a wkład Niemiec 12. Zresztą prawo weta pozwoliłoby Francji odrzucić wszelkie żądanie zwiększenia liczby jednostek niemieckich. Trzeba jednak zwrócić uwagę na to, że gwarancja ta stanowi jedynie czczą formułkę. W rzeczywistości protokół ten jest obecnie trudny do zastosowania, gdyż wojna w Indochinach stawia pod znakiem zapytania tak wielki udział Francji. Ponadto, Ameryka zaczyna wykazywać troskę o zapewnienie możliwości zluźnienia swoich żołnierzy w Korei i jeśli oceni, że niebezpieczeństwo sytuacji

¹⁾ U. D. S. R. — Union Démocratique et Socialiste de la Résistance. (Unia Demokratyczna i Socjalistyczna Ruchu Oporu).

wymaga zwiększenia liczby dywizji armii europejskiej, wówczas zażąda od sześciu krajów zachodnio-europejskich nowego wysiłku wojkowego. Niemcy mogłyby zrealizować wysiłek ten bez trudności i powinny być w stanie wystawić w dostatecznie szybkim czasie co najmniej 25 dywizji.

„Natomiast Francja nie mogłaby, w obecnym stanie rzeczy, zwiększyć swych sił. Czyż można uwierzyć, że mimo przysługującego jej prawa veto, mogłaby się przeciwstawić temu, aby niemieckie siły zbrojne stały się najważniejszym składnikiem Wspólnoty?

„Zapewnienie właściwej pozycji Francji okazałoby się również złudne i na próżno wyrzeklibyśmy się części naszej suwerenności”

(E. JACOBIN (nr. styczniowy))

MAURICE DUVERGER, profesor:

W czym interesie leży ta utrata suwerenności?

„Niebezpieczeństwo remilitaryzacji Niemiec leży w irredentyzmie niemieckim. Niemcy na nowo uzbrojone nie zwracałyby się ku zachodowi, lecz ku wschodowi — w kierunku Niemieckiej Republiki Demokratycznej i w kierunku ziem wcielonych do nowej Polski. Włączenie Niemieckiej Republiki Związkowej do sojuszu atlantyckiego uczyniłoby z tego irredentyzmu niemieckiego irredentyzm zachodni. Zresztą pierwszy raczej przyczyniłby się do wzmocnienia, aniżeli do stworzenia drugiego. Bowiem irredentyzm zachodni już istnieje. Oczy Ameryki zwrócone są w kierunku Pragi, Budapesztu, Warszawy i Bukaresztu. Duch krucjaty rozprzestrzenia się w sposób widoczny, jak to wyraźnie wykazała prezydencka kampania wyborcza. Niebezpieczeństwo leży w tym, że dążenie Niemiec do jedności wzmacnia amerykańskie dążenie do krucjaty. Niebezpieczne jest to, że Niemcy odgradzają się od swoich europejskich partnerów

rów we wspólnocie atlantyckiej po to, aby sprzymierzyć się z pewnymi Amerykanami, szczególnie „dynamicznymi“.

LA NEF (tamże)

EDOUARD HERRIOT, przewodniczący francuskiego Zgromadzenia Narodowego:

„Przeciw komu zwróciłby się odrodzony nacjonalizm niemiecki? Może, początkowo, nie przeciwko Francji. Lecz Niemcy nie powstrzymaliby się na długo od chwycenia za broń, bądź dlatego, że dążą do przywrócenia jedności przy pomocy siły, bądź dlatego, że opowiadają się za konfliktem, w nadziei, że odbiorą ziemię z tamtej strony Odry i Nysy. Francja nie posiada żadnych szans pozostania na uboczu w razie dojścia do takiego konfliktu“.

LA NEF (tamże)

III. MOŻLIWA JEST INNA POLITYKA

ANDRE DENIS, deputowany z ramienia M. R. P.:

René MAYER w swym exposé, wygłoszonym w Zgromadzeniu Narodowym, na temat projektu ratyfikacji układów w Bonn, oświadczył, że „układy te pozostawiają otwarte drzwi do rokowań ze Związkiem Radzieckim“.

„Francja może i powinna uniknąć tego, aby przez akty w rodzaju utworzenia armii niemieckiej i złamania układu Poczdamskiego, nie stawiać stosunków z ZSRR pod znakiem brutalnej siły.

„Nie mówię już „jedynie Francja“, lecz Francja popierająca nareszcie dyplomację wspólną wszystkim narodom najbardziej eksponowanym, troszczącym się o to, aby uchronić stosunki międzynarodowe przed samowolą i dostępem nienawiści.

„We Francji, uroczysty apel prezydenta Herriot przełamał mur milczenia. Życzymy sobie, aby również zdecydowana większość Francuzów myślała tak samo jak on: Nie mogą uznać ani przyjąć projektu układu o armii europejskiej... Nie jest niegodne Francji odgrywać roli arbitra i wносить swój wkład do wszelkich wysiłków, mających na celu ocalenie pokoju“.

LA NEF (tamże)

Droga

wyjścia

z impasu

PAUL RIVET

stawny etnograf, b. poseł socjalistyczny jest obecnie honorowym dyrektorem Muzeum Człowieka w Paryżu. Jest on również wiceprzewodniczącym Ligi Praw Człowieka.

RZĄD francuski przedłożył parlamentowi do ratyfikacji układ o „armii europejskiej“. Co Pan o tym sądzi?

— Naturalnie uważam, że trzeba odrzucić wniosek o utworzenie „armii europejskiej“. Ale nie ludźmy się. Każda zmiana kierunku musi trwać długo. Nie można przeskakiwać etapów.

Taka jest bowiem ujemna strona każdej polityki, że nie dotyczy ona jedynie teraźniejszości, ale sięga również w przyszłość. Odnosi się to również do polityki atlantyckiej.

To, co się zdarzyło w Waszyngtonie, kiedy partia republikańska objęła władzę, równa się niemal rewolucji. Eisenhower powiedział: „Wypowiem układy jaltańskie“. Takie właśnie posunięcia zagrażają pokojowi. Można odwołać zaciągnięte zobowiązania. wymaga to tylko przygotowania i rokowań. Ale nie pojmuję, że można z dnia na dzień jednostronnie wypowiedzieć układ, bo wtedy wszelkie traktaty byłyby warte tyle co świstki papieru, a zobowiązania międzynarodowe nie miałyby już żadnej wartości.

Jutro prawdopodobnie bądź Francja, bądź same Niemcy zachodnie odrzucą traktat o „armii europejskiej“. Wtedy postawi się przed nami dylemat: skoro nie zgadzacie się na „armię europejską“, musicie przyjąć bezpośrednią remilitaryzację Niemiec zachodnich przez Stany Zjednoczone. Rozmawiałem ostatnio na ten temat z moim przyjacielem Andrée Denis, posłem z ramienia MRP i nie doszliśmy do porozumienia.

„Amerykanie nie będą mogli przeprowadzić pełnej remilitaryzacji Niemiec zachodnich — mówił do mnie — musieliby posiadać w tym celu dostateczną ilość baz na terytorium Francji.“

Ale oni mają te bazy. Mocno usadowili się w Maroku. Przypuśćmy więc, że Niemcy, zremilitaryzowane dzięki staraniom Stanów Zjednoczonych, zdolają odzyskać polubownie swe dawne granice na Wschodzie. Pozostanie im tylko zwrócić się przeciw Francji, aby odzyskać to, co im zabrano na Zachodzie, na przykład Alzację i Lotarynię.

— *To tylko przypuszczenie, natomiast utworzenie „armii europejskiej” naraża nas na to, że możemy być natychmiast wciągnięci do wojny w celu przyjscia z pomocą Niemcom w podboju ich dawnych posiadłości na Wschodzie. Jak to powiedział Pierre Cot, dają nam do wyboru między dżumą a cholera. Czyż w „armii europejskiej” silniejsze pod względem demograficznym i gospodarczym Niemcy nie będą siłą kierującą?*

— Ależ z całą pewnością uzyskalyby one przewagę w Europie zachodniej i natychmiast objęłyby rolę kierowniczą. Toteż, powtarzam, przeciwny jestem „armii europejskiej”. Chciałbym tylko podkreślić, że często więcej trzeba czasu dla uwolnienia się z zaciągniętego zobowiązania, niż do podjęcia go. Weźmy przykład Indochin. Wyobraźcie sobie, że jestem następcą obecnego ministra i że pragnę uregulować tę sprawę. Staję wobec Bao-Dai, który ma w kieszeni traktat, podpisany przez Auriola. Z kim powinniśmy pertraktować? Oczywiście z Ho Sziminem. Można pertraktować jedynie z przeciwnikiem. Trzeba więc przedtem skłonić Bao-Dai do odejścia. Zresztą będzie to kosztować mniej niż jeden dzień wojny w Indochinach.

To samo odnosi się do paktu atlantyckiego. Dobrze byłoby zrobić krok wstecz. Ale któż usunie Amerykanów z baz w Maroku, któreśmy im dali? Socjaliści mają jeszcze nadzieję, że Anglia się przyłączy, że weźmie udział we „wspólnocie atlantyckiej”, dając nam w ten sposób pewne zabezpieczenie. Nie wierzę, aby Eden mógł ustą-

pić. Jestem przeświadczony, że nie może ustąpić.

— *Ale jak Pana zdaniem uniknąć zarazem i dżumy i cholery?*

— Tworząc neutralne Niemcy z gwarancją jednocześnie i Zachodu i Wschodu. Ale co za zupełna zmiana polityki! Nie może się to dokonać w oderwaniu od innych spraw. Sądzę, że byłoby możliwe ustanowić trwałą siłę na świecie przez utworzenie prawdziwie niepodległej Europy, która związałaby się i połączyłaby swe interesy z interesami narodów Ameryki Łacińskiej, ożywionymi identycznymi pragnieniami.

Wyobrażam sobie doskonale, że Indie przyłączyłyby się do tej rodziny narodów. Nie macie pojęcia, jak bardzo wzrosła wola niepodległości w całej Ameryce Łacińskiej. Mamy z tymi krajami pokrewieństwo kulturalne, które uważam za podstawę trwałego porozumienia. Jakiś czas temu narody Ameryki Łacińskiej nie wierzyły już wcale w Europę. Przeciwnie — oczarowane były zupełnie nową cywilizacją Ameryki Północnej. Ale teraz rozumieją one, że istnieją pewne rzeczy, których Ameryka Północna nie może im dać i że nigdy nie będzie mogła ich im dać. A jednocześnie patrzeć muszą, jak Stany Zjednoczone zagarniają ich bogactwa naturalne, ingerują w ich życie. Narody Ameryki Łacińskiej odnajdują Europę.

Ale wszystko wiąże się ze sobą. Będziemy mogli zbliżyć się zarówno do Indii, jak do krajów Ameryki Łacińskiej jedynie wtedy, kiedy zmieni się nasze postępowanie w stosunku do Indochinczyków i do Muzułmanów. Nasze obecne postępowanie hamuje

entuzjizm Ameryki Łacińskiej dla Francji. Niejednokrotnie słyszałem bardzo surowe głosy krytyki pod naszym adresem. Niektóre nawet sprawiały mi pewien kłopot, bowiem nie należę do tych, którzy uważają, że bilans naszej kolonizacji przedstawia się całkowicie ujemnie.

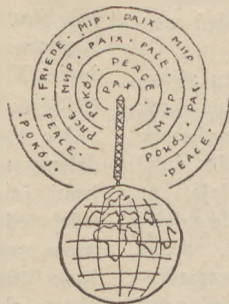
— Wracając do Ameryki Łacińskiej, do jej pragnienia niepodległości, czy nie uważa Pan za znamienne, że akcji ochrony Murzynów, zainicjowanej przez Józefinę Baker, patronuje Peron i Vargas, dwaj prezydenci największych krajów Ameryki Łacińskiej? Akcja ta wyraża protest przeciw dyskryminacji rasowej. Spójrzcie na Meksyk, bliskiego sąsiada Stanów Zjednoczonych. Uznaje on tylko Hiszpanię republikańską.

Paul Rivet powraca jeszcze do polityki atlantyckiej.

— Wdzi Pan, polityka amerykańska jest logiczna, nieubłagane logiczna. Od początku było rzeczą oczywistą, że pakt atlantycki pociągnie za sobą wcielenie doń Hiszpanii frankistowskiej i remilitaryzację Niemiec zachodnich. Jest to absolutnie logiczne. Oczywiście, że Stanom Zjednoczonym łatwiej porozumieć się z Franco, niż z hiszpańskim rządem republikańskim.

Stąd wynika poparcie dla reżimu frankistowskiego. Typowy jest również przykład Bao-Dai. W dniu, kiedy wyciągnięto Bao-Dai z jego pudełka i zrobiono z niego szefa rządu, wniesiono faktycznie barierę między nami a naszymi przeciwnikami. Jest rzeczą oczywistą, że Vietnam może prowadzić rokowania jedynie z Francją, a nie z Bao-Dai. Trzeba więc najpierw usunąć ten parawan. Amerykanie wiedzą co czynią. Nasze koła rządzące nie wiedzą, dokąd idą, jakkolwiek może Pan być pewien, że odczuwają poważny niepokój.

Paul Rivet odnosi się sceptycznie do możliwości zmiany nastawienia tych, którzy obecnie sprawują rządy we Francji. Przecistawiając się zarówno utworzeniu „armii europejskiej”, jak i bezpośredniej odbudowie Wehrmachtu, Rivet wierzy jednak głęboko, że Europa może prowadzić politykę niezależną między Zachodem i Wschodem, w przyjaźni z Zachodem i ze Wschodem, w oparciu o wielki kontynent Ameryki Łacińskiej, której bogactwa i olbrzymie możliwości są niedoceniane, a która znosi te same cierpienia, ma te same dążenia i czuje się związana z Francją tyłoma więzami pokrewieństwa, tyłoma interesami.



Dawaj Żołnierze

MARTIN Chandler nie ma kłopotów, jego byt jest zapewniony. Chandler jest kawalerem, dzie-li wraz z czterema kolegami wygodny mały domek. Z rana przyjeżdża po niego jeep, by go zawieźć na poligon. Wieczorem powraca, ob-ladowany paczkami papierosów, konserwami i słodyczami, kupionymi w kan-tynie.

Martin Chandler jest żołnierzem amerykańskich sił zbrojnych w Euro-pie — wojsk okupacyjnych, jak je na-zywają Europejczycy.

W 1945 r. Chandler wkroczył do Nie-miec jako zwycięzca. Po okresie bez-czynności w obozie w Reims został zdemobilizowany. Po powrocie do Sta-nów Zjednoczonych znowu pracował w swoim zawodzie. Minęło kilka lat. Mar-tin uczęszczał do lokalu American Le-gion, prowadził dyskusje ze swymi dawnymi towarzyszami z placu boju i któregoś dnia znowu się zaciągnął. Czy była to tęsknota za życiem wojskowym, czy nieprzystosowanie do życia w spo-leczeństwie? Sztab główny skierował go do Niemiec zachodnich. Nie toczyła tam się jeszcze walka, ale zimna woj-na.

OPOWIADANIE

GERALDA CAZAUBON

Po ośmiu miesiącach otrzymał urlop, który postanowił spędzić w Paryżu. Wąłęsał się po wielkich bulwarach, zwiedzał, obserwował. Wieczorem wychodził z kolegami, stacjonującymi w Orleanie. Pod koniec swego urlopu nie-cierpiał Francji.

Dziennikarz amerykański Don Cook opisywał na łamach „New York Herald Tribune” rozmowy, które słyszał w kantynach żołnierskich w Châteauroux, Orleanie czy gdzie indziej. Nic a nic nie przesadził. Mógł tak rozmawiać Mar-tin Chandler. Nic również nie wyjaśnił.

„Francuzi — mówią amerykańscy żołnierze — nie pracują tak ciężko, jak Niemcy. Piwo francuskie jest niesmacz-ne. Francuzi nie budują domów tak prędko i tak dobrze, jak Niemcy. Fa-brykacja rur i produkcja ołowiu we Francji stoją na poziomie średniowie-

cza. Francuskie szynki nie są tak przyjemne jak niemieckie „gasthausy“. We Francji ceny są bardzo wysokie. Francuzi zachowują się lekceważąco. We Francji pełno jest komunistów. Francuzi nie są czysti. Francja jest pełna błota. Na prowincji ruch ustaje z zachodem słońca“.

Don Cook, który przecież zna i ceni Francję, usprawiedliwia te arbitralne argumenty, przytaczając takie słowa wyższego oficera amerykańskiego: „*Widzi pan, nasi młodzi ludzie zawsze mają tendencję do pozowania na pyszcłków, kiedy znajdują się z dala od domu“*. Istotnie ta postawa amerykańskich żołnierzy uzyskała urzędowe przyzwolenie, skoro sztab główny Stanów Zjednoczonych postanowił nie wysyłać więcej do Francji wojsk, które stacjonowały w Niemczech zachodnich. Żołnierze, mający stacjonować we Francji, przybywać będą bezpośrednio ze Stanów Zjednoczonych. Martin Chandler może być spokojny.

Mógł on „spokojnie żyć“ w Niemczech. Nie dlatego, aby specjalnie lubił Niemców, lub wysoko cenił kontakty z nimi. Zresztą żyje w zamkniętym kloszu i mało się styka z ludnością. Ale Niemcy zdają się okazywać więcej ducha współpracy. Jednym słowem, gotowi są więcej zrobić za pieniądze, które im się zapłaci — intratny interes.

Martin Chandler nie oceniał Niemiec jedynie w porównaniu z Francją, Anglią, czy krajami skandynawskimi. Nie kiedy unosił się, traktował wszystkie te kraje po równemu i jadowicie krytykował. Na ulicy wymyślał niemieckim cywilom. „*Co to za kraj — mawiał — z jego głupimi fabrykami, rozrzutnością, brakiem organizacji, wiecznym deficytem budżetowym, nadętymi posłami“*.

Wyżsi oficerowie wygłaszali pogadanki, by wyjaśnić wojskom USA ich rolę w Europie i by wskazywać żołnierzom, jak powinni się zachowywać. Chandler wspomniał Stany Zjednoczone, zebrania w American Legion. „*Ostatecznie — oświadczył — jesteśmy pierwszym krajem na świecie, przeprowadzimy grupie narodów. Mamy przytłaczającą wyższość techniczną, potrafimy żyć, a te stare kraje buntują się przeciw nam“*. Pochwalił od początku do końca całe przemówienie Fostera Dullesa, transmitowane ze Stanów Zjednoczonych przez American Forces Network (amerykańska radiostacja wojskowa). „*Bez jedności nie ma pomocy dla Europy“* — oto jakim językiem trzeba przemawiać. Artykuł w „*Life*“ o Mariannie (symbol Francji) i prostytutce, oświadczenie Eisenhowera o „*moralnym upadku Francji*“, wydały mu się całkowicie słuszne. Nieświadomie wznosił się na wielkiej fali nacjonalizmu, szalejącej w Stanach Zjednoczonych, podzielał te uczucia, które rozdymane przez gazety, audycje telewizyjne i radiowe pchały zamiast do wystąpień pokojowych — przede wszystkim do wystąpień szowinistycznych. Świadomie potępiał wszelkie dążenia innych narodów do zachowania niepodległości. „*Staramy się ich ocalić przed inwazją czerwonych, a oni nas w zamian za to szantażują, od mawiając zjednoczenia się. Po cóż te granice, które hamują wszelki rozwój gospodarczy. Ich małe armie to operetka“*.

Podczas swej podróży do Włoch, Foster Dulles powiedział: „*Myślę o naszej historii, o ludziach takich jak Jefferson, Hamilton i Jay, którzy stworzyli naszą Federację, pozostawiając Stanom szeroką suwerenność. Jestem pewien, że*

państwa Europy ze swą olbrzymią energią potencjalną będą mogły uczynić to, co my sami zrobiliśmy 160 lat temu". A Martin Chandler powtórzył za Dullesem: „Czytajcie naszą historię. Nasze Stany umiały się zjednoczyć, ohałając przesady i oto widzicie rezultat“.

Martin Chandler jest zwolennikiem partii republikańskiej. Głosował na Ike'a, przeciw przekupstwu wśród demokratów, skandalom politycznym i o nowego ducha, o nową dla wszystkich zrozumiałą politykę. We Frankfurcie nad Menem większość żołnierzy opowiadała się za partią demokratyczną. Mówili o związkach zawodowych, o pokoju, o wyzyskiwaczach republikańskich.

Po wyborach prezydenckich, a zwłaszcza po pierwszym przemówieniu Eisenhowera o stanie państwa, Martin Chandler spotkał się z żołnierzami i powiedział do nich: „Widzicie, nie mieliście racji, wierząc demokratom, wszystko staje się jasne, Stany Zjednoczone podnoszą głowę, przejęliśmy inicjatywę“. Żołnierze milczeli, a Chandler ciągnął dalej: „Nie ma już Achesona z jego dyplomacją, która do niczego nie prowadzi, nie ma już konferencji okrągłego stołu, nie ma już traktatów z czerwonymi. Przed narodem amerykańskim otwarcie nakreślono naszą politykę. Przechodzimy do ofensywy“. Żołnierze zwieszali głowy. Słowo „ofensywa“ natychmiast wywołało w ich umysłach obrazy lądowania — ataku na nieprzyjaciela, czuli, że ofensywa to oni. Sierżant ciągnął dalej:

„Teraz przyszłość do nas należy. Bronimy wolności na wszystkich frontach. Widzieliście — z jednej strony Formozę; Czang Kai-szek przejdzie do akcji. A z drugiej strony mała podróż

Dullesa do tych panów w rządach europejskich. Ta sama polityka, ten sam cel. Stany Zjednoczone nie boją się już, że będą zaatakowane, otoczone, przeciwnie — wszędzie mamy bazy z armatami, skierowanymi w ten sam cel. I czekamy“.

„A więc chce pan wojny, sierżancie?“, zapytał jeden z żołnierzy.

„Wojny?“ Chandler zawahał się. „Nie wiem. Eisenhower powiedział, że zapewni pokój, trzeba mieć do niego zaufanie. Teraz kiedy ma się wódzów, wie się, dokąd się idzie“. Potem znowu się zawahał: „Wojna? Jakże pan chce, abym wiedział, jak się skończy ta historia. W każdym razie Stany Zjednoczone mają najpotężniejszą broń na świecie. Wódzowie podejmą za mnie decyzję“.

Kiedy tylko sierżant się odwrócił, żołnierze zaczęli na niego sarkać: „Ten Chandler to ukochany syn prezydenta; nie człowiek, a karabin maszynowy“.



DAN LARSEN wie, dokąd prowadzi ta polityka; był w Korei w pułku artylerii i zdezerterował. W grudniu ubiegłego roku jego batalion dostał się na linię ognia. W pierwszych dniach wszędzie panował spokój, ale któregoś ranka kapitan zarządził atak na szczyt góry, znajdujący się naprzeciw batalionu. Najpierw artyleria oddała wiele strzałów. Potem ruszyli na przód. Koreańczycy strzelali, rzucali gęsto pociski z moździerzy i Dana ogarnął strach. Położył się w śniegu i zaczął pełzać ku tyłowi, gdy tymczasem koledzy, uważając go za rannego, przeszli nad nim do szturmowania okopy koreańskie. Pełznął aż do chwili, gdy wydało mu się, że znajduje się za

linią ognia i pobiegł, unikając grup żołnierzy, dróg, używając podstępów i spoglądając z nieufnością na wszelki kształt ludzki. Musiał bowiem ukrywać się zarazem przed wojskami „Narodów Zjednoczonych“ i przed koreańskimi chłopami, którzy mimo swej nieszkodliwej postawy mogli każdej chwili przekształcić się w grupę partyzantów.

Wstydził się swego postępku, a jednak nie miał świadomości, że zdradził jakąś sprawę, czy swój kraj. Zdradził tylko wojnę. Szedł, nie bardzo wiedząc dokąd idzie, wchodził w sam środek zniszczeń, gruzów, huk i szaleństwa. Wieczorem wdzierał się do zagród koreańskich, by kraść żywność. Po dwóch dniach spotkał innego dezertera. Niebawem było ich czterech i razem czuli się rańniej. Rozmawiali.

Dan Larsen wspominał swe małe miasteczko w Kalifornii. Sady, spokojne życie. W 1950 r. mieszkańcy mało troszczyli się o wojnę w Korei. Chcieli pokoju, ale nie starali się go osiągnąć. Potem młodzi mężczyźni wyjechali. Ich rodzice dostali następnie pismo z ministerstwa wojny, oznajmiające śmierć synów i matki rozpoczęły kampanię w sprawie położenia kresu wojnie w Korei.

Z kolei Dan Larsen otrzymał powołanie do wojska. Nagle wyrwany z pokojowego życia miasteczkowego, wygodnego, nie obciążającego żadną odpowiedzialnością, znalazł się w obozie, którego nie wybrał, jako ofiara wojny i międzynarodowego naprężenia, które go przyczyn nie znał. Nagle związany został z polityką swego rządu, z antykomunistyczną propagandą audycji radiowych. „Zagrażają nam czerwoni, trzeba stworzyć komitety obrony, trze-

ba wojny, aby powstrzymać ich inwazję“. I ci właśnie czerwoni stali się ludźmi, którzy zawzięcie walczyli, wiedząc, dlaczego strzelają, ludźmi, których się bał, bo nie czuł dosyć złości, by ich zabijać.

Po tygodniu został zatrzymany. Setkę dezertków, wykrytych jak i on w ostatnich dniach przez M. P. (Military Police — amerykańska żandarmeria polowa) zebrano w sztabie głównym i poddano badaniu. Ich historię ogłosiły wszystkie gazety świata. W wywiadzie prasowym generał J. C. Fry, dowódca II dywizji Stanów Zjednoczonych oświadczył na ich temat: „*Żołnierze ci zdezerterowali raczej na skutek zamieszania, niż z tchórzostwa. Należy mieć pretensję do ich rodziny i do ich przyjaciół w USA, gdyż żołnierze ci nie zdawali sobie sprawy ze znaczenia wojny w Korei, jako kluczowej walki z komunizmem. Przybyli oni z miast, gdzie nikt nie mówi o wojnie w Korei. Ci ludzie — dodał — nie byli psychologicznie dobrze przygotowani do wojny*“.

I zaczęło się przygotowanie psychologiczne. Dan słuchał wykładów wygłaszanych przez oficerów, ale pragnął przede wszystkim czytać gazety. Trzeba było znaleźć rozwiązanie tych wszystkich problemów, które stanęły przed nim w czasie ucieczki. Od strażników baraku otrzymywał wiadomości i czasem gazetę. Czytał w nich przemówienie Eisenhowera w sprawie de-naturalizacji Formozy, czytał, że Anglicy, jak pisały dzienniki waszyngtońskie, wykręcali się, nie zgadzali się na rozszerzenie konfliktu. Potem kraje, które miały swe wojska w Korei, okazywały coraz większe niezadowolenie. W tym samym czasie Stany Zjednoczone wywierały nacisk na tych wszystkich,

kłóczyli się ich woli — neutralistów, zwolenników trzeciej siły, pacyfistów, a nawet nacjonalistów, którzy stali się dla nich wrogami z tego powodu, co i komuniści.

Dan dowiedział się, że Biuro Informacji Światowej otrzymać ma w 1954 roku 114,5 miliona dolarów, aby m. in. przygotować „opór psychiczny na wypadk komunistycznej agresji”, „zwalczać neutralizm, w szczególności w Azji i na Środkowym Wschodzie” i „podtrzymywać w krajach za żelazną kurtyną nadzieję wyzwolenia”. Przeczytał w „New York Times” artykuły Hansona Baldwina o europejskich sprzymierzonych i dowiedział się, że „zdaniem większości członków N. A. T. O. minęło niebezpieczeństwo ataku ze strony ZSRR”, ale że wojskowi przywódcy USA nie podzielają oficjalnie tego poglądu oraz że „mocno przecenia się potęgę radziecką”. Dowiedział się, że Stany Zjednoczone zarzucają zachodnio-europejskim mężom stanu „troszczenie się o społeczne problemy swych krajów, w większym stopniu, niż o ich wojskowe bezpieczeństwo, że bardziej niepokoją się czynami i gestami swych sąsiadów, niż czynami i gestami ZSRR” i krytykują Francuzów, Anglików, Włochów, Skandynawów za ich fatalistyczną, pacyfistyczną i nacjonalistyczną postawę, za ich antymilitaryzm, który

„krępuje kampanię psychologiczną na rzecz programu zbrojeń”.

Zawsze ta psychologia, która zmierza do skrzywienia rzeczywistości. Ta psychologia, która kładzie im karabin w ręce. Ale pokój? Nie można było zrozumieć pokojowych zapewnień rządu Stanów Zjednoczonych. Co miały oznaczać zagadkowe słowa orędzia Eisenhowera, że „jedynym sposobem uniknięcia wojny totalnej jest wygrana w zimnej wojnie?” W Phenianie i w Wonsanie toczyła się gorąca wojna, codziennie ginęli ludzie, gdy tymczasem Eisenhower obiecał, że zaszczytnie tę wojnę zakończy. Ale prezydent, jak się zdawało, bynajmniej nie śpieszy się, by położyć kres tej wojnie.

Po trzech tygodniach generał Fry oświadczył dezertерom, że „mogą wybierać między powrotem na front, by okupić swą zradę, a sądem wojennym”.

Dan napisał do swego ojca list, który zakończył tymi słowami: „Powinniście walczyć wszystkimi środkami o położenie kresu wojnie w Korei. Trzeba ocalić pokój świata. Generał Eisenhower nas oszukał. Trzeba, aby rządy wszystkich krajów spotkały się, ożywione wolą porozumienia i zachowania swej niepodległości, utrzymując między sobą pokojowe stosunki”.

Potem oczekiwał na wyrok oficerów z sądu wojennego.

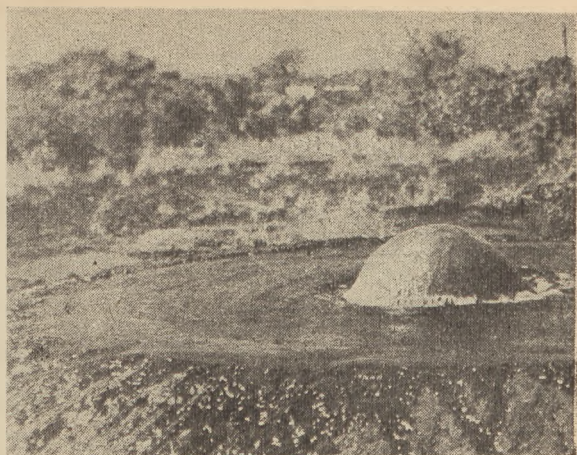




Wenezuela kraj kontrastów

ENRICO ALVAREZ

*U wylotu opuszczonych
szybów wylaniają się i pę-
kają olbrzymie kule ropy
naftowej.*



WIELE kłamstw krąży po świecie na temat prawdziwej sytuacji w Wenezueli. Wiele z nich stworzono rozmyślnie w celu oszukania robotników innych krajów, bądź też w celu popierania emigracji lub w innych ukrytych celach. Zasadniczym argumentem tej propagandy jest „wysoka płaca” robotników i twierdzenie, jakoby nafta dokonała „cudownego przekształcenia” zacofanego kraju w kraj przodujący, jeden z najbardziej technicznie rozwiniętych na świecie.

„Cud” wenezuelski, cud nafty przypomina kruczek kuglarski. Cudotwórca wyczarowywał niespodziewanie potoki nafty, czarnego złota ze swego kapelusza, ale tak się następnie urządził, że potoki tego czarnego bogactwa płynęły na zewnątrz, nie plamiąc ziemi wenezuelskiej.

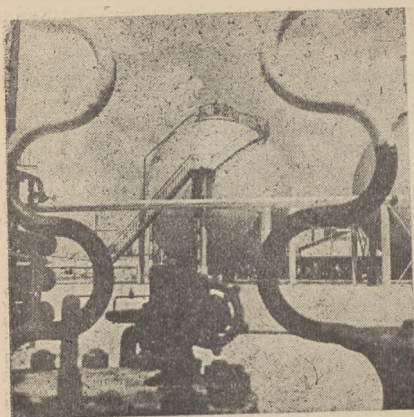
W ten sposób Wenezuela weszła po wojnie do rodziny narodów i w Europie zaczęto mówić o tym kraju Ameryki

Lacińskiej. Nafta wenezuelska importowana do Francji i do Włoch przez Standard Oil w ramach „planu Marshalla” sprawiła, że w portach włoskich i na południu Francji zaczęto mówić o naszym kraju.

Niemniej mało mówiono o prawdziwych warunkach życia robotników wenezuelskich. Mówiono o „wysokich płacach” w przemyśle naftowym, w budownictwie i zaczęto sobie wyobrażać olbrzymie możliwości przemysłu metalowego. Dużo można by powiedzieć na ten temat.

„KRAJ WSZELKIEJ SZCZĘŚLIWOŚCI”

Wenezuela liczy około pięciu milionów mieszkańców. Powierzchnia kraju wynosi milion kilometrów kwadratowych. Wenezuela jest drugim na świecie producentem nafty i pierwszym jej eksporterem. Jest to kraj typowo górniczy. Jego rezerwy żelaza oblicza się na ponad miliard ton. Posiada nadto bogate pokłady manganu,



*Labirynt rur. W głębi zbiornik ropy
w Curaçao.*



*Regulacja przepływu ropy między zbior-
nikami a rafinerią.*

*Olbrzymie „świece” - kominy, z których
wydobywają się płomienie płonącego
gazu ziemnego.*

*Przemysł naftowy zużywa olbrzymie
ilości różnych materiałów.*





Ten robotnik wykonuje jedną z najbardziej niebezpiecznych prac przy szybie naftowym w Mene Grande. Kotłedzy nazywają go „szaleńcem”. Zakłada on rury w czasie boringowania nowego szybu. Niektóre źródła ropy naftowej w Wenezueli znajdują się tuż pod powierzchnią ziemi i można je eksploatować, borując szyby przy pomocy maszyn przenośnych. Inne są na głębokościach, które jeszcze przed kilku laty były nieosiągalne dla używanych wówczas maszyn wiertniczych.



*Powstają wprawdzie budowane w pośpiechu nowe osiedla,
ale nie mogą one zapewnić odpowiedniego pomieszczenia
dla 10 tysięcy robotników i ich rodzin.*

bauksytu, diamentów itp. Pisma amerykańskie donosiły poza tym o istnieniu w Wenezueli pokładów uranu, a niektóre nawet informowały o udziale Stanów Zjednoczonych w niedawnym odkryciu złóż w Orinoco, największej rzece Wenezueli, udziału, który tłumaczy się poszukiwaniem przez nie tego cennego metalu. Tak więc ze względu na swe bogactwa mineralne i ze względu na swe doskonale położenie geograficzne — dokładnie na północy kontynentu Ameryki Południowej — Wenezuela stała się przedmiotem pożądania potężnych spółek zagranicznych.

Następujące liczby pozwalają lepiej zmierzyć rozmiary tych pożądań. W 1949 r. inwestycje towarzystw naftowych osiągnęły 1.928.186.218 dolarów. Trzeba by jeszcze dodać do tej liczby całość sumy inwestycji, poczynionych w ostatnich latach i inwestycji towarzystw amerykańskich, eksploatujących nasze pokłady żelaza. W tym samym 1949 r. Wenezuela zajmowała pierwsze miejsce w amerykańskich inwestycjach zagranicą. W tymże roku Stany Zjed-

noczone zainwestowały zagranicą 773 miliony dolarów, w tym 646 milionów na Środkowym Wschodzie, w Kanadzie i Ameryce Łacińskiej. Ołóż w samej Wenezueli Stany Zjednoczone zainwestowały 245 milionów dolarów, to znaczy 31,69 proc. całości amerykańskich inwestycji zagranicą i ponad połowę tychże inwestycji w Ameryce Łacińskiej.

Ruch, domagający się nacjonalizacji przemysłu naftowego na Środkowym Wschodzie i niepewność, ciążąca nad kapitałem amerykańskim w pozostałych krajach świata, skłoniły go do emigrowania w kierunku Wenezueli. Uczestnicy poważnej konferencji, która skupiła dyrektorów Standard Oil of New Jersey (której podlega Creole Petroleum Corporation w Wenezueli, największe przedsiębiorstwo naftowe w naszym kraju, przewyższające swym znaczeniem Shell Caribbean Petroleum Company, będącą filią Royal Dutch Shell) postanowili nadać zwiększać produkcję nafty wenezuelskiej, która osiąga już 1.800.000 baryłek dziennie.

To olbrzymie, wręcz bajeczne bogactwo w kraju, liczącym zaledwie pięć milionów mieszkańców, mogłoby nasuwać przypuszczenie, że robotnicy i chłopci wenezuelscy żyją w najlepszych warunkach i że w szczególności 42.000 robotników przemysłu naftowego doskonale zarabiają i żyją w prawdziwym kraju wszelkiej szczęśliwości. Nic bardziej fałszywego.

NĘDZA LUDNOŚCI

W rzeczywistości od paru lat w przemyśle naftowym szerzy się bezrobocie. Towarzystwa naftowe zwolniły ponad 20.000 robotników. Wówczas w całym kraju wybuchła fala głuchego sprzeciwu. Po zwolnieniach przyszło zmniejszenie płac. Sytuacja ta spowodowała wybuch olbrzymiego strajku, który ogarnął wszystkich robotników przemysłu naftowego, przerywając produkcję czarnego złota na trzy dni (w maju 1950 r.).

Towarzystwa naftowe, pozostające w ścisłym kontakcie z rządem wyższych wojskowych, zdławiły ruch strajkowy i doprowadziły do aresztowania wielu przywódców robotniczych, między innymi Jesusa Faria, przewodniczącego największej organizacji związków zawodowych robotników przemysłu naftowego, płomiennego bojownika o pokój, który odtąd przebywa w głównym

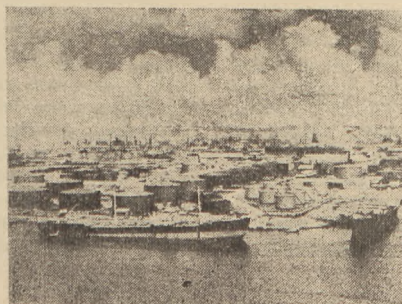
więzieniu Wenezueli, w San Juan de los Morros.

Obecnie warunki życia robotników przemysłu naftowego pozostawiają wiele do życzenia. Płace nie odpowiadają wysokim cenom. Mieszkania są niewygodne i niehigieniczne.

Niewiele lepiej przedstawiają się warunki życia robotników przemysłu budowlanego, metalowego, włókienniczego i rzemieślników. Wystarczy zapytać pierwszego z brzegu robotnika z Caracas, Maracaibo, byle jakiego pracownika spółek naftowych w Lagunillas, Cabimas, Tia Juana itp. Wszyscy powiedzą wam, że ich niską płacą trudno im opłacić najpotrzebniejsze wydatki. I z gorzkim uśmiechem odpowiedzą wam, kiedy zapytacie, co myślą o Wenezueli — „przodującym kraju posłepu“.

Los chłopów, wiodących ciężkie życie w ciemnocie, w warunkach na wpół feudalnych, zdanych na samowolę wielkich posiadaczy ziemskich, jest jeszcze straszliwszy.

Do tego niezdrowego, ciężkiego życia, które jest udziałem robotników wenezuelskich, dodać trzeba atmosferę niepokoju, jaką podtrzymują Policja Polityczna i Gwardia Narodowa, które bez najmniejszego poszanowania wolności obywatelskich, pilnie śledzą każde najmniejsze wystąpienie robotników i prześladują bojowników o pokój.



PEKIN

CLAUDE ROY

- Ranek w Pekinie ● „Stolica Północy”
- Pomniki ● Świątynia Niebios ● Świątynia Konfucjusza ● Pałac Cesarski ● Gdzież są dawne czasy?



PRZEZ sen jeszcze słysząc *crre, crre, crra* grzechotki sprzedawcy klusek, który jednocześnie, pokrzykuje w bemo lowej tonacji swoje *Szieeh Mien! Kua*

Mien! — orientuję się, że to już pół do siódmej. W kwadrans później odzywa się inny znów sprzedawca i reklamuje ciastka z orzeszków uderzając rytmicznie w deszczulkę z twardego drzewa przyczepioną do bambusowych nosisideł. *Tap, tap, tap, top, top* — odgłosowi uderzeń wtóruje jego nosowy okrzyk — *Szao Ping*. Około siódmej pojawia się handlarz warzyw. Długie, mosiężne pręty przymocowane do kosza, miarowo, w rytmie kroków podzwaniają swoje dziwaczne *ding-dling*. Przekupień triumfalnym głosem zachwala swój towar: kapustę, selerę, solone liście rzepy, słodkie gotowane pataty, szpinak, korzenie lotosu, zieloną fasolkę, dynię. Piętnaście po siódmej sen już na dobre przechodzi. Na rogu ulicy Uśmiechniętego Patriarchy i zaułka Kaczej Skórki ukazuje

się sprzedawca sosu do fasolki—huang sziang. Dmie on ze wszystkich swych sił w starą francuską trąbkę pułkową, wydobywając z niej sześć pierwszych tonów piosenki wojskowej.

Wzdłuż wielkiej arterii, prowadzącej do Tien An Men wesoło hałasują już samochody, usiłując za pomocą symfonii klaksonów usunąć na prawą stronę riksze rowerowe. Regulujący ruch milicjanci ostrzegają przez głosniki panią w niebieskiej sukni, że przejedzie ją samochód ciężarowy, jeżeli będzie zachowywać się na jezdni jak przestraszona kura: Czerwone i żółte tramwaje hałaśliwie zgrzytają przeslizgując się pod *pailonami* — wielkimi bramami triumfalnymi i o trzech arkadach, pokrytych zieloną, porcelanową dachówką. Już Marco Polo pisał o nich że są „różowe i żółte, zielone i niebieskie i tak znakomicie lakierowane, że błyszczą jak kryształ i jaśnieją z wielkiej nawet odległości”.

W oddali, w starym mieście chińskim wielkie magazyny uruchomiły już gramofony, które aż do nocy będą wygrywać arie z oper chińskich. Sklepiarze otworzyli już radio na cały re-

gulator. Rikszarze z humorem obrzucają się wyzwiskami.

Obok potężnej Tien An Men chłopcy krzyczą z radości, wypuszczając w górę latawce w kształcie gołębia pokoju.

A wiatr z pustyni Gobi, przekraczając drobnym truchtem chudego wilka Wielki Mur, łowi swym czujnym uchem dochodzący z południa zmieszany gwar i mówi do siebie — oto Pekin.

Oto Pekin — miasto wędrownych rzemieślników, sprzedawców krawetek i wielkich, jasno oświetlonych magazynów, wdzięcznych dachów Pałacu Cesarskiego, żółtych i błyszczących jak czapka marynarza z Concarneau i czerwonych murów Miasta Zakazanego, zgłębku ulicy Kotlarzy i grobowej czysy ulicy Mącznej. Miasto rozbrzmiewające kastanietami minstrela, który snuje swą opowieść w programie lokalnym radia pekińskiego, rozbrzmiewającego głosem speakerki, przypominającym głos kotki z bajki o dobrej wróżce.

Oto Pekin — przekupień zachwala głośno kasztany smażone w cukrze, a gazięciarz wykrzykuje: „Zwycięstwo ochotników chińskich w Korei“. Karawany wieblądów, kołysząc się maszerują wzdłuż wałów miejskich w stronę bramy Szien Men, konwoje ciężarówek przybyłych z Mukdenu suną ulicami, nomadowie mongolscy i pastuchowie wysiedli na Dworcu Głównym, aby zanieść pozdrowienia Mao Tse-tungowi. W wielkich salach Międzynarodowej Księgarni Hsінhua studenci przegłądają prasę moskiewską, paryską i nowojorską przy dźwiękach uwertury do Romea i Julii Prokofiewa.

Pekin — miasto kuglarzy z jarmarku przy Bramie Wschodniej, warsztatów naprawczych pod gołym niebem, rozerwistych z maskami okrywającymi na wzór masek lekarskich nos i usta dla ochrony przed kurzem, miasto 500 000 starych ksiąg, drzemiących w swoich skórzanych, bambusowych i cedrowych oprawach w Bibliotece Narodowej. Pekin, którego ulice mają 755 km długości, który liczy milion mieszkańców, nie licząc kotów krążących po opuszczonych uliczkach — *huntung*, bocianów z Pałacu Cesar-

skiego i ryb o wypukłych oczach ze spokojnych ogrodów.

W małych, niebrukowanych uliczkach, biegnących ze wschodu na zachód, przycicha wędrowny wiatr, zatrzymując się na murach z wyschniętej gliny, wśród których niespodziewanie wykwiła tu i ówdzie czerwony lakier bramy jakiegoś budynku administracyjnego, uroczystej jak kasa pancerna Banku Chińskiego.



Z południa na północ przecinają miasto wielkie arterie handlowe obwiezione jedwabnymi sztyldami. Wiatr kołysze nimi i wprowadza w ruch piękne, białe chińskie litery na purpurowym tle, a tramwaje z trudem przeciskają się przez gmatwaninę rikszy, samochodów, obładowanych ziarnem lub koszami z węglem, ręcznych wózków i głośno dzwoniących rowerów.

Z samolotu, tarasu Hotelu Pokoju, czy ze szczytu pagody na Wzgórzu Węglowym można w całości ogarnąć wspaniały geometryczny plan Pekinu i odkryć tajemnicę ukrytą w jego murach. Podobnie jak miasta amerykańskie, czy zbudowana przez Napoleona La Roche sur Yon, Pekin stanowi prostokąt, regularnie poprzecinany ulicami. Jego wały obronne obejmują miasto rozłożone wokół murów prostokątnego Miasta Zakazanego na kształt geometrycznego owocu wokół swego jądra.

Na pozór Pekin to miasto ponure, zduszone, ukazujące przechodniowi, który wyszedł z dzielnicy handlowej, jedynie perspektywę o barwie smutnej ochry i milczącej szarzyzny; w rzeczywistości jednak to miasto-ogród, morze tajemniczych drzew, które odkryć można dopiero wznosząc się ponad sieć niepozornych uliczek.

Wokół każdego domu istnieje jakaś namiastka parku — parę drzew — białe sosny, tuje, karłowate dęby czy majestatyczne akacje; oceniają one niskie domki o zaokrąglonych bramach, oblicowanych czarnym dębem.

Za pokrytym żółtymi lub zielonymi dachówkami murem, otaczającym świątynię i pałace, wielkie zamyślane drzewa z lekka kołyszą się ponad kamiennymi słupami i grobowcami.

Szary przy ziemi Pekin, staje się zielony, kiedy się nań patrzy z góry. Zielony i regularnie wytyczony. Marco Polo widział go takim, gdy jeszcze zwał się Kambalik: „Czworoboczny, otoczony murami, szerokimi i ze swej podstawy na dobrych dziesięć stóp i zwieńczonymi blankami, ulice ma tak proste, że widać je od końca do końca; są tak dobrze wytyczone, że z jednej bramy widać drugą poprzez całą długość miasta; pośrodku stoi olbrzymi pałac otoczony pięknymi trawnikami i rozmaitymi wspaniałymi drzewami owocowymi. Na północ, z dala od pałacu, widać sztucznie zbudowane wzgórza wysokości ponad stu stóp”. Na to właśnie sztucznie wybudowane wzgórza należy wejść aby ogarnąć wzrokiem Pekin, aby dojrzeć na horyzoncie, w stronie południowo - zachodniej wielką słoneczną płaszczyznę, z białego marmuru — Świątynię Niebios, a na południowym wschodzie maszty radiostacji pekińskiej, ujrzeć Chiny, których władcy ongiś zwracali swe modły do Słońca, Chiny, które dziś przemawiają do wszystkich narodów Azji. Aby dojrzeć Pekin — stolicę.

„Tu Nankin“ zapowiadało niegdyś radio Kuomintangu. *Pekin* — „stolica Północy“ na rozkaz Czang Kai-szeka zmienił swą nazwę na *Peiping* — „równina Północy“. Mao Tse - tung zwrócił Pekinowi jego rangę i funkcję. Przez pełne dwadzieścia cztery godziny z anten stolicy płynie głos do narodów Chin i Azji. „*Tu Pekin*“ — mówi speaker zapowiadając audycje w języku japońskim, koreańskim, angielskim, indonezyjskim, syjamskim. „*Tu Pekin*“ — od tych słów rozpoczynają się audycje w języku wietnamskim, birmańskim, mongolskim, w dialekcie Amoy, Kantonu, Szaoszu, czy Keszia.

Pekin, stolica dawnego cesarstwa stał się stolicą nowej republiki. Przyszłość przemawia wszystkimi językami żółtych narodów przez mikrofony tysiącletniego miasta.



Wróżbici, którzy wytyczali dla swego władcy pierwsze plany Pekinu, oparli jego zarysy na korpusie legendarnego olbrzyma No Sza. Zabytkowe

gmachy starego Pekinu to szkielet mitologicznego olbrzyma. Jego czaszka — to Brama Północna, Wieża Dzwonu i Wieża Bębna, klatka piersiowa znajduje się pośrodku Miasta Zakazanego, na zachodzie, po lewej ręce stoi świątynia Konfucjusza, na wschodzie brama Hsi Szi Men, a na południowym zachodzie pozostałe kości stóp: Świątynia Niebios.

ŚWIĄTYNIA NIEBIOS

Wielki, ogrodzony park. Ponad tysiącletnie cedry. Cyprysy. W trawie fiołki i dzikie, niebieskie kwiaty, których nazwy nie znam. Długa, obramowana drzewami i wyłożona płytami prosta aleja, przypominająca drogi w starożytnym Rzymie, łączy Świątynię Niebios z Ołtarzem.

Świątynia, która spłonęła od uderzenia pioruna w r. 1889, została odbudowana według dawnych planów. Potrójny, stożkowaty dach pokrywa dachówka z niebieskiej porcelany. Cztery środkowe kolumny wyłożone laką podtrzymują okrągły strop, ozdobiony ornamentami w kolorze zielonym, ciemno-niebieskim i złotym. Pośrodku stropu biały smok na niebieskim tle.

Na drugim krańcu wielkiej, wyłożonej płytami alei znajduje się Ołtarz Niebios.

Trzy tarasy z białego marmuru otoczone balustradą wznoszą się jeden nad drugim. Na każdy z nich prowadzi dziewięć stopni. Powierzchnię najwyższego stanowi okrągła płaszczyzna wyłożona płytami, po dziewięć w każdym kierunku, od obwodu do środka które otaczają okrągły kamień — oś wszechświata.

Strażnik świątyni zapisuje w swoim notesie wrażenia gości zagranicznych.

„Proporcje są tu tak doskonałe — mówię — że nie można by przesunąć ani o metr jakiegokolwiek balustrady, aby nie zepsuć harmonii całości”.

*Piękność jej ciała jest tak idealna
że niepodobna nawet bogom
ani na włos niczego dodać jej lub
ująć.*

Próbuję wyobrazić sobie strażników
Wersalu recytujących przed zwiedzają-
cymi Racine'a.

Strażnik notuje, pochylając głowę,
a po chwili odzywa się:

Poeta Po Szu-i tak napisał o pew-
nej bardzo pięknej kobiecie:

ŚWIĄTYNIA KONFUCJUSZA

Pośród cyprysów i dębów centralny
budynek. Wokół inne pawilony, sala



Tien Tan czyli Świątynia Niebios w Pekinie.

klasyków, cele, w których zamykano kandydatów poddawanych egzaminowi, polegającemu na napisaniu rozprawy i tradycyjnego poematu.

Dziesięć niskich kolumn z gładkiego marmuru, pokrytych starożytnymi napisami. Ustawione pod drzewami pośród cichego dziedzińca wielkie kamienne stalle uwieczniają chwałę słynnych uczonych. Przypomina się stary żydowski cmentarz w Pradze, jego zwietrzałe nagrobki, na pół już wyrwane z ziemi, stojące pośród stosów zwiedłych liści i drzew. To jedno z prawdziwie czarodziejskich miejsc świata.

Jedynie niektóre grobowce kampanii rzymskiej, cmentarz jakiegoś kościoła angikańskiego, którego n. zw. nie pamiętam, ruiny wybudowanego przez króla Haiti Henryka I, niewolnika, który został księciem — pałacu Sans Souci, którego zniszczone mury, ślepe arkady i kopie starożytnych posągów są łupem olbrzymiej trawy znad Morza Karaibskiego — mają podobny nieokreślony czar, jak ten ogród, pełen milczących znaków, rozmyślający nad ich znaczeniem w kojącym cieniu drzew.

PAŁAC CESARSKI

Nad murem z ciemno-czerwonej cegły góruje długi taras z którego Mao Tse-tung w maju i październiku pozdrowia lud chiński. Poniżej, poprzez pięć mostów z białego marmuru, Brama Środka Dnia prowadzi do pałaców Miasta Fioletowego. Cesarze z dynastii Ming zbudowali je na miejscu wybranym już na siedzibę przez zwycięskich cudzoziemców z dynastii mongolskiej.

Latem, kiedy promienie słoneczne padają pionowo na płyty z białego kamienia i zimą, kiedy olbrzymie powierzchnie przybierają surowy wygląd słonego jeziora, dziedzińce pałacowe wyglądają najbardziej dostojnie.

Stopnie z białego marmuru opasują pochyłą płaszczyznę, zdobną w chime-ry i pokręcone smoki, której dotykały

jedynie stopy Cesarza z właściwą Majestatowi ostrożnością.

Pawilon Najwyższej Harmonii, pawilon Harmonii Średniej, pawilon Harmonii Nigdy Niezakłóconej i inne przytłaczają swoją nieruchomą purpurą ogromne, opuszczone dziedzińce.

Narożniki podwójnych dachów z złotej porcelany, o wdzięcznie załamującej się linii wyglądają jakby chciały wlecieć w górę. Etnografowie twierdzą, że dachy te specjalnie tak budowano, aby przechodzić nie był narażony na uderzenie piersią w ostry kant. Inni uważają — że architekci chińscy wzorowali się na kształcie gałęzi sosnowych, które przypominają linię dachów i mają jak one końce uniesione do góry.

Uważam, że najlepiej wyjaśnia to Claudel i Ségalen: poeta - archeolog — twórca „*Stiel*” i poeta - dyplomata, autor „*Znajomości Wschodu*”. Encyklopedyści francuscy rozumieli w Chinach to, co laickie i areligijne. Symboliści francuscy odczuwali Chiny symboli, bogów i małą.

Dziwaczny narożnik świątyni i pałaców, to — mówi Claudel: „*baldachim, namiot, którego podniesione rogi są przywiązane do chmury*”. A Ségalen: „*Komuż w niebiosach wygrają te cztery rogi? Na co wskazują? Te cztery rogi oryginalnego Namiotu są związane czterema sznurami i podniesione do góry, aby udostępniając wstęp okazać prawdziwą gościnność*”. Metafora jest tu dzieckiem prawdy. Widziałem w Mongolii podniesione narożniki dachu futrzanych jurt, pod którym bawia się dzieci, jagnięta i świeżo wyklute pisklęta.

Spoglądając z góry na dachy wydaje się, że te smoki, jednorożce i bajeczne ptaki grożą niebu. Pioruny jednak spływały poprzez metalowy pręt do ziemi, oszczędzając Syna Niebios i jego minisłów.

Pomiędzy starymi budynkami Południa i ogrodami Północy, gdzie skupione są małe, lekkie i niskie pawilony z czasów ostatniej dynastii, wiją się labirynty opuszczonych ulic o wy-

tartych płytach kamiennych, pomiędzy którymi przeciska się trawa. Bociany, z jedwabnym szelestem szybują ponad tym martwym labiryntem.

Bocian to myślący latawiec.

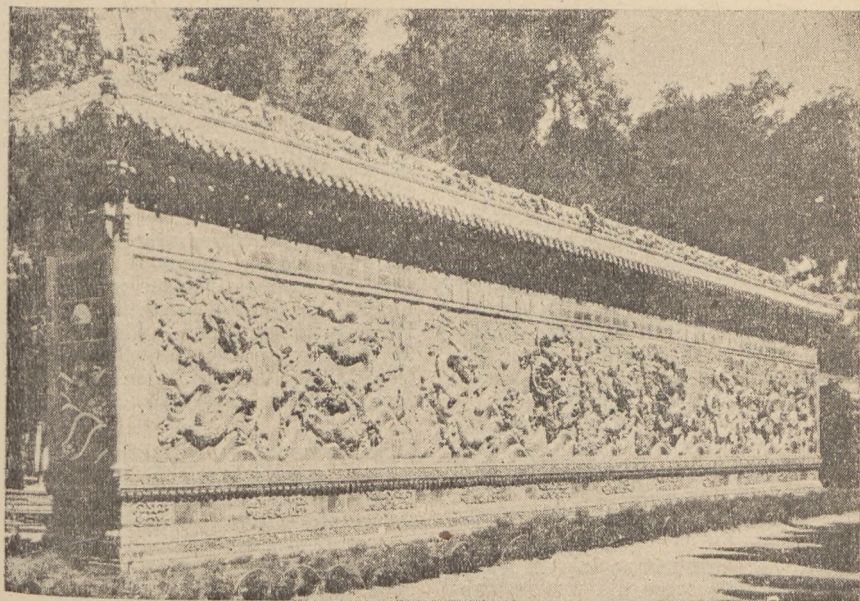
Cesarze mandżurscy nudzili się w starym ponurym pałacu. W północnej stronie Miasta Zakazanego Kien Long raz do roku urządzał jarmark, sprasząc kuglarzy, przekupniów, kramarzy, wędrownych aktorów. Dwór prowadzący normalnie klasztorny żywot bawił się w „gdybyśmy byli w mieście jako zwykli poddani“, podobnie jak Maria Antonina w pasterkę w Petit Trianon. Kien Long lubił poetów, kurtyzany, był dobrotliwy. Gniewał się, gdy kucharze liczyli mu za ulubione danie — zsiadłe mleko z fasolką (*iangszu*) — 12 taelów

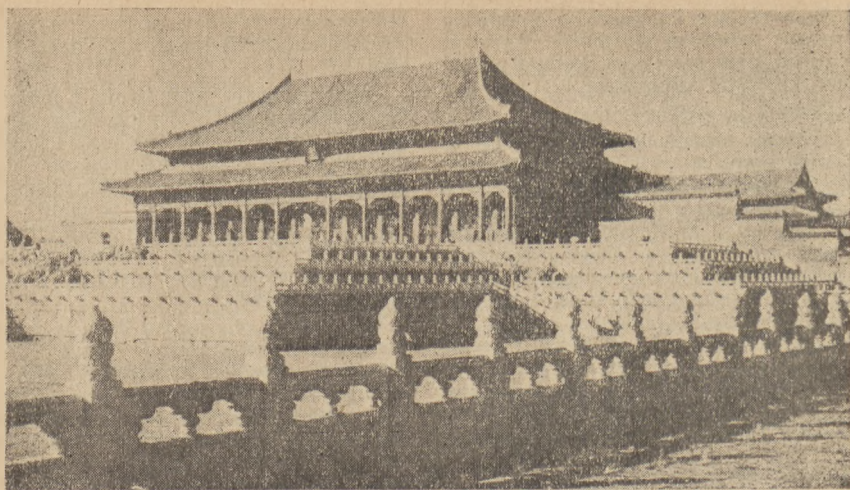
podczas gdy ta sama potrawa w kramikach ulicznych kosztowała dużo taniej.

Jego następcy nudzili się z mniejszym wdziękiem. Ostatni mandżurowie, gdy nie sprawiały im już przyjemności intrygi pałacowe, dokonywane na ich rozkaz, samobójstwa dokonywane przez eunuchów, którzy wypadli z łask, i wzajemne mordy, odstępowali przywileje handlowe cudzoziemcom w zamian za, wiedeńskie zegary i paryskie pozytywki.

W budynku otoczonym dziwaczными muszlami i nienaturalnie skrzywonymi drzewami, powykrzywianymi i spletanymi dzięki staraniom uczzonego ogrodnika cesarskiego, dozorca uruchamia dla zwiedzających zegar, z którego co

Mur Dziewięciu Smoków w Zimowym Pałacu Cesarskim.





Stary Pałac Cesarski — Tai Ho Tien.

kwadrans wyskakuje złoty ptak bijąc skrzydłami, następny, z którego wychodzi złoty słoń i podnosi tągę, inny znów, gdzie wiewiórka z brązu wyskakuje z altanki wykonanej z granatu, wreszcie zegar wysadzany diamentami, imitującymi wodotryski wersalskie.

Zatrzymuję się na balkonie jednego z budynków przed wyblakłymi freskami z XVIII wieku przedstawiającymi z wdziękiem dość zresztą frywolnym epizod z „Marzenia Czerwonego Pawilonu”. Z wnętrza dochodzi mnie grzmioty cymbałów i blach w dzikim rytmie *Tha-Ma-Ra-Bum-Di-He*, wielkiego sukcesu paryskich teatrów ogródkowych w roku 1880. Wehodem. Strażnik uruchomił jedno z cacek kolekcji cesarskiej: brzuchatą katarynkę z laki, która nosi dumny napis wypisany żółtymi literami: LIMONAIRE freres, 166 avenue Daumesnil, Paris.

Jeżeli strażnik jest w dobrym humorze, rozsunie jeszcze dla was jedwab-

ną wzorzystą zastawę, na której szubują złote bociany i pokaże wielki gramofon z tubą. I będziecie mogli usłyszeć w samym sercu Zakazanego Miasta Paulusa śpiewającego nosowym głosem ulubiony refren ostatniej konkubiny cesarskiej:

Z żoną dalekie zwiedzając kraje
Byliśmy także w tureckim seraju
Gdzie eunuch — chłopiec uroczy
Słodkie do żony mej robił oczy
Holal — krzyknąłem — widzę
Że nad hurysy swe wszystkie
Przekładasz wdzięk i urodę
Małej kobietki paryskiej?

Na zewnątrz w wielkich glinianych wazach ryby o barwach tęczy i wylupiających oczach zniechęcone i smutne jak ostatni cesarze dynastii kręcą się w wodzie bez smaku.

Na dziedziniec wjeżdża czarna limuzyna. Wysiada z niej wysoki człowiek

w inundurze z beżowego płótna i bawelnianej czapce nasuniętej na zbyt długie włosy. Warta prezentuje broń. Mao Tse-tung udaje się do pracy.

* *



Gołębie Paryża i Wenecji to ptaki leśniwe. Gołębie Pekinu to muzycy. Przy mocowane do nóg maleńkie gwizdki bezustannie dźwięczą w czasie lotu,

napełniając powietrze nieziemską delikatną muzyką i podając ton śpiewakom ulicznym.

Należy być może przyspieszyć włośćę po starej dzielnicy handlowej, która jutro już będzie tylko wspomnieniem. Chiny ukazują nam jeszcze zycie średniowiecza, sfilczone miasta, pracowite gildie, rzemieślników zgromadzonych według zawodu wokół barwnych kramów. Nie należy jednak zbyt żałować tego kolorytu lokalnego, który wkrótce już zaniknie, ustępując miejsca ludzkim warunkom życia. Nie przypuszczam, żeby Chiny mogły stać się nudne, żeby straciły swój urok. Stracą być może nieco ze swej malowniczości. Podróżnicy uważają za malownicze to co ich bawi, co się im podobą. Zaułki Neapolu, Bowers oraz filipińskie i włoskie ulice Nowego Jorku, Stary Port w Marsylii, Rynek Kaledoński w Londynie, Aubervilliers — to wszystko jest ogromnie malownicze. Lecz ciekawy widok jest chyba zbyt drogo opłacony, jeżeli ceną jego jest brud, choroby, głód i nędza.

Ulice nazwane przez turystów: Jedwabną, Nefrytową, Haftów (w rzeczywistości noszą dużo piękniejsze nazwy: Karmicielek, Ognistych Umysłów, Szczęśliwych Feniksów) są bogate i pełne blichtru, który ma czarować i wyciągać pieniądze od cudzoziemców. *Liu Li Czang* to pekińska ulica Bonapartego; wszystkie kramy — to antykwarjaty i magazyny starożytności.

Chiny występują tutaj w postaci najbardziej odpowiadającej wyobrażeniom dyktantów. Kupcy w fioletowych suk-

niach i jedwabnych myckach częstują was herbatą, rozwijają zrulowane obrązy, które znawca długo targuje. W dzielnicy bukinistów profesorowie i studenci Uniwersytetu Tsin Hua wertyują piękne stare księgi pisane wielkimi brzuchatymi charakterami z czasów dawnych dynastii, równomiernymi i wdzięcznymi literami pisma Tang, bądź też znakami z epoki Ming, wydłużonymi jak postacie El Greca.

W warsztatach wychodzących na maleńkie podwórza, gdzie trzy ryby-kwiaty pływają w wazonach z piaskowca rzemieślnicy wiernie odtwarzają stare arcydzieła; posążki pogrzebowe Tang są nie tylko wykonane z identycznego materiału, lecz mają dokładnie tę samą patynę, tak samo ułamany palec, te same defekty, co oryginały w muzeum. Drewniane statuetki buddyjskiej Bogini Liotości są stoczone przez te same robaki, dotknięte tym samym zębem czasu, co figurki z najstarszych świątyń.

Tyle zręczności mogłoby skusić kupców. Lecz mimo to nie sprzedają oni falsyfikatów za oryginały. Uczciwość ta jest często zupełnie nowym zjawiskiem. Zarząd miejski dyskretnie czuwa nad handlem.

Od tych słusznie pogardzanych przez Chińczyków ulic, które nie mają w sobie nic prawdziwego, lecz są za to tłumnie odwiedzane przez naiwnych Amerykanów w poszukiwaniu chińszczyzny wolę ulice, gdzie ludność miejscowa czyni zakupy przed świątami i uroczystościami. Sprzedawcy weselnych sztucznych kwiatów wystawiają prawdziwe cuda z piór, wełny, mosiądzu i papieru. W wigilię chińskiego Nowego Roku te uliczki i targowiska ludowe są przepelnione kupującymi. Producenci petard, chińskich skrzypiec dwu i czterostunowych, fajek na długim cybuchu zakończonych lulką z nefrytu, wędrowni sprzedawcy papierowych wycinanek, wachlarzy, latarni z rybich pęcherzy, pluszowych ptaków, filcowych smoków, malowanych glinianych naczyń do chłodzenia wody, masek i kostiumów teatralnych oferują klientom swoją pstrokaciznę.

Każdizło zawsze można dostać przy Świątyni Pięciu Bogów Wyróżnionych



Marmurowy statek w parku Yi Ho Yuan.

przez Los, bogów prawdziwie chińskich, których kult, z żalem muszę stwierdzić, zanika. W rzeczywistości byli to rozbójnicy, którym oddawano cześć boską, ponieważ obrabowali przepuknych urzędników i rozdali ich majątek ubogim i uczciwym ludziom.

Handlarze coraz mniej poszukiwanego kadzidła sprzedają także przedmioty bardziej użyteczne: ołówki, kalendarze a nawet produkowane w Chinach doskonałe wieczne pióra Parkera, kosztujące tyle, co zwykła drewniana obiadka w Paryżu.

Rewolucja otworzyła we wszystkich dzielnicach Pekinu wielkie, jasne i wygodne księgarnie, podobnie jak w innych chińskich miastach. We wszystkich dziedzinach handlu wielkie magazyny państwowe regulują ceny i racjonalizują technikę produkcji. W państwowym składzie materiałów piśmiennych przy ulicy *Liu Li Czang* sprzedają okładki do książek, ramy do obrazów

i całe stosy malowideł na jedwabiu po stałych cenach, do których musieli się też dostosować rzemieślnicy. Przez sklepy położone przy wielkich arteriach przewija się dziennie po kilka tysięcy klientów. Chłopi z okolic Pekinu robią tu zakupy po zakończonym targu.

Te wielkie magazyny państwowe dopomagają handlowi i przemysłowi prywatnemu, zamawiając po uregulowanych i umiarkowanych cenach coraz większe ilości dóbr konsumpcyjnych.

Sklepy te zupełnie nie są malownicze. Są jasne, hałaśliwe, wygodne i dobrze prosperujące. Nie są malownicze, lecz dobrze służą ludziom: stary wieśniak, z zawiniętą na głowie tradycyjną chustką, w słomianych sandałach stoi obok swoich bambusowych nosideł i każe sobie po kolei pokazywać i narecać wszystkie butzki znajdujące się w sklepie. (W końcu kupi ten, który najgłośniej dzwoni).

Lao Sze, autor wspaniałej powieści „*Kulis ciągnie riksze*” wyjaśnia mi co zyskał Pekin dzięki wyzwoleniu: 600.000 domów więcej niż w r. 1941 ma wodę bieżącą, naprawiono 100 km, a zbudowano 50 km kanałów, uruchomiono 500 przychodni lekarskich w dzielnicach robotniczych; usunięto druty kolczaste, które broniły dostępu do Dzielnic Poselstw.

Liczy i statystyka nudzą entuzjastów malowniczości. Pekin miał przypuszczalnie więcej smaczku w czasach, gdy tu przebywał Paul Morand. Ulice są dziś czyste i porządne, podczas gdy niegdyś Morand stwierdzał: „*należy przede wszystkim zlikwidować jeziora, błota i góry śmieci leżące wzdłuż obrzydliwych domów*”.

Higiena jest nieefektowna, monotonna i bez wdzięku. Gdzie się podziało ówczesne błoto i śmieci? Gdzie się podziały dawniejsze zabawy? „*Times*” (16.12.1949 r.) stwierdza melancholijnie, że „*rozrywki kolonii zagranicznej podlegają surowym ograniczeniom. Klub Pekijski, niegdyś ośrodek wytwornego życia, istnieje jeszcze, lecz jest tylko cieniem swojej dawnej świetności. Wyścigi, spacery konne, biegi na przelaj, polo to jedynie wspomnienia*

wesołej przeszłości. Dzisiaj rzadko tylko można w Pekinie zobaczyć konia, a raczej chińskiego pony.

Wesołe pikniki na okolicznych wzgórzach, tak charakterystyczne dla pekińskich week-endów to dzisiaj rzadkie i trudne przedsięwzięcia, a świątynie, które cudzoziemcy zazwyczaj wynajmowali na letnie rezydencje, stoją dzisiaj próżne i opuszczone”.

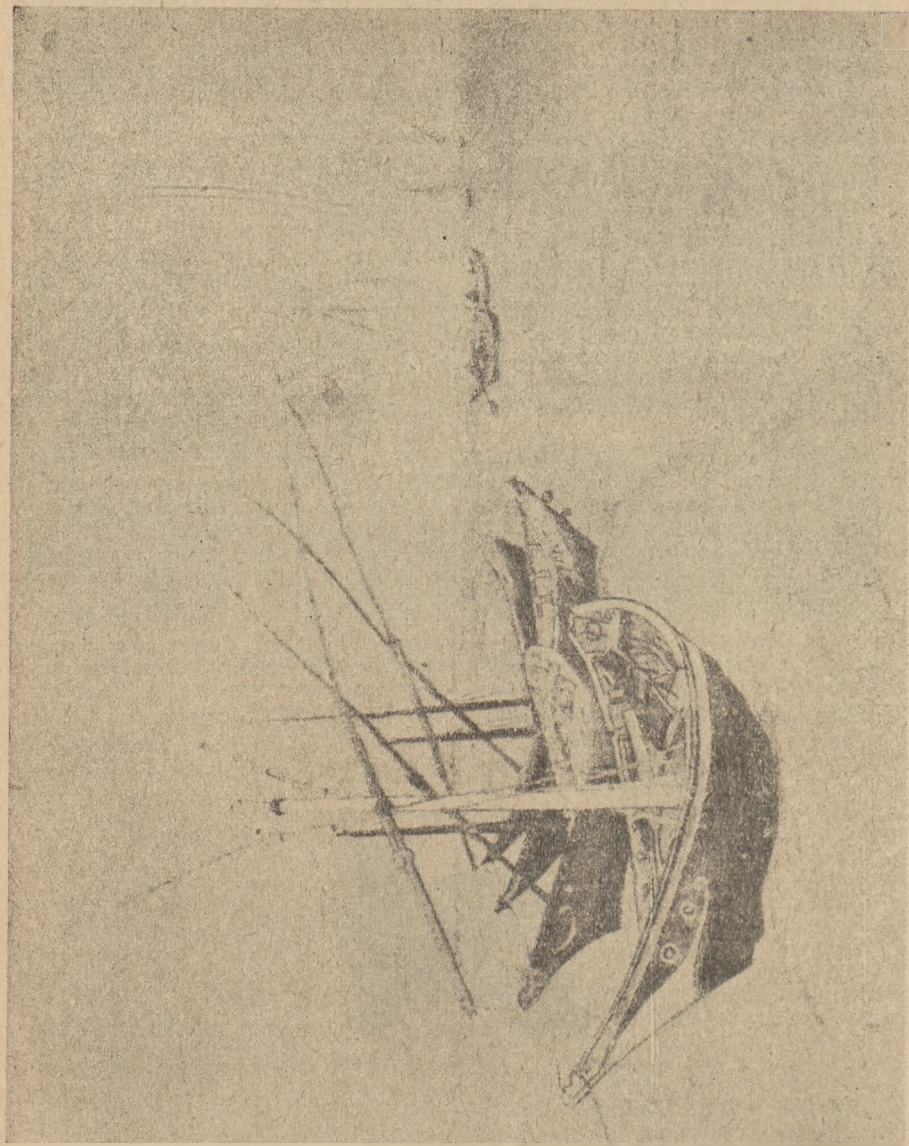
Tak, gdzie się podziały dawne tere-ny do gry w polo, pikniki, wytworne życie? Gdzie zniknęli słynni żebracy pekińscy, tak malowniczy, „*żywa i zorganizowana zaraza*”, wraz ze swymi wrzodami, elefantiasis, ropiejącymi ranami, robactwem i lamentami?

Znajdują się w Ludowym Instytucie Handlu, gdzie uczą ich zawodu, w szpitalu, gdzie ich leczą.

Po przeprowadzeniu reformy rolnej 2914 żebraków skierowano do rodzinnych wiosek, gdzie otrzymali ziemię, którą dziś uprawiają. Około 1500 innych, niezdolnych do pracy ze względu na wiek, przyjęło schronisko dla starców.

Zmniejszył się znacznie koloryt lokalny ulic Pekinu. Gdzież podziały się niegdyśjsze śniegi? Stopniały w promieniach towarzysza słońca. Czyż należy tego żałować?





Łodzie w Saintes-Maries (1888) Rysunek

TRAGICZNE ŻYCIE VINCENT VAN GOGHA

GEORGE BESSON

DRAMATYCZNA oryginalność — oto co wypełniło życie Vincent Van Gogha. Malował on zaledwie około 9 lat — w mniej niż 3 lata zrealizował zasadniczą część dzieła, którego nowość, bogactwo i oddziaływanie czynią z tego genialnego rozbitka jednego z najbar-dziej wyjątkowych twórców sztuki.

Wypadki jego życia o wyjątkowym ciężarze gatunkowym, życia pełnego wstrząsów, tworzą szereg obrazów — halucynacji: wyrty na nich entuzjazm, całkowite oddanie siebie i najgorsze rozczarowania, odepchnięta miłość i altruizm, szal twórczości, obłęd i śmierć. Ale nie ma żadnej tajemnicy tej egzystencji tak tragicznie dalekiej od pospólności. Ludzie, którzy znali Van Gogha, przekazali nam świadectwo o jego przygodach i o jego sposobie bycia; historycy przeanalizowali dzieje ewolucji jego sztuki, sztuki, która go trawiła, jak gorączka; lekarze wyjaśnili rozwój jego obłędu. On sam zresztą niczego nie ukrywał ze swojej myśli. Wyjawiał ją w niezliczonych listach pisanych do swoich przyjaciół i niezrównanego anioła-stróża, jakim był dla niego młodszy brat

Teodor, ów dobry, ów wzniosły Teo, który go zachęcał, pocieszał, pomagał mu, aż przyplącił to życiem.

Vincent Van Gogh urodził się 30 marca 1853 r. w Groot-Zundert koło Breedy, w północnym Brabancie. Był protestantem, synem i wnukiem pastorów; od dzieciństwa charakter jego odznaczał się dzikością. Zmarszczki ma już jako młodziwiec; włosy rude, załękniiony wyraz twarzy, oczy małe, niebiesko-zielone, głęboko osadzone w asymetrycznej twarzy; nic w nim nie ma z młodzieńca — powie później jego siostra, Elżbieta. Jest niezgrabny, nieśmiały, przekłada towarzysztwo zwierząt, obserwowanie ich, nad towarzystwo ludzi, ale już w 16 roku życia musi zarabiać na swoje utrzymanie. Posyłają go do Hagi, do firmy Goupil „Sztęchy i obrazy“, gdzie krnąbrny

samotny i skłonny do kontemplacji Vincent staje się posłusznym urzędnikiem; otrzymuje wkrótce awans i 90 florenów miesięcznie w filii tego samego kupca, w Londynie. Lubi swoje rzemiosło, w listach do rodziny wymienia bez wielkiego rozeznania nazwiska artystów, których kocha i których dzieła sprzedaje: Corot i Gérôme, Bouguereau i Meissonier... Zdaje mu się, że jest kochany, i wydaje się szczęśliwym aż do chwili, gdy ta, którą chce pojąć za żonę, śliczna Urszula Loyer, córka jego gospodyni, oznajmia ironicznie „holenderskiemu prostakowi“, że jest już zaręczona. Zrozpaczony wpada w mistycyzm i mizantropię, nabiera wstrętu do swego rzemiosła. „Handel dziełami sztuki — woła w sklepie pełnym kupujących — jest tylko pewną formą zorganizowanej kradzieży“.

Zostaje zwolniony z pracy, ale udaje mu się w latach 1875-76 dostać z powrotem do Goupila, tym razem w Paryżu. Ten roztargniony, coraz bardziej zamknięty w sobie urzędnik czyta Biblię, chodzi do kościoła pastora Bercier i pewnego pięknego dnia porzuca swego chlebobawcę, aby wrócić do rodziców, do Elten. Wkrótce zaczyna tęsknić do Londynu, znajduje tam posadę nauczyciela w pewnej prywatnej instytucji, w której naucza języków niemieckiego i francuskiego, ucześnie na zebraniach religijne katolickie i żydowskie, anglikańskie i armii zbawienia, zaprawia się do kaznodziejstwa, owładnięty coraz bardziej pochłaniającą go myślą o poświęceniu się, o życiu dla innych, o tym żeby być pożytecznym. Pewnego wieczoru podczas kwesty rzuca do skarbonki kościelnej złoty zegarek i rękawiczki.

Z początkiem 1876 r. Vincent Van Gogh znajduje się już poza Londynem. Przez 3 miesiące jest sprzedawcą w księgarni w Dordrecht, gdzie w dalszym ciągu umacnia się w wierze i pragnieniu stania się duchownym. Zostaje studentem teologii w Amsterdamie, ale szybko odrzuca wszelkie pouczenia teoretyczne, aby oddać się wymarzonej od czasów londyńskich misji kaznodziej i zbawcy dusz. Zostaje w końcu przyjęty do szkoły misjonarzy w Brukseli, aby móc wreszcie spełnić ideał wyrzeczenia się i altruizmu: „**Nie potrafię — pisze do brata Teo — utrzymywać stosunków z ludźmi, którzy dbają o piękne formy, ale mam szczęście do drobnych mieszczan i biedaków...**“ W Borinage staje się Van Gogh ochotniczym szerzycielem Ewangelii za 50 fr. miesięcznie, o wiele mniej zbliżony do Boga niż do swoich przyjaciół-górników, płatnych po 2 fr. 50 dziennie, do ich dzieci wystawionych na działanie gazów ziemnych począwszy od czternastego roku życia, do których na tyfus, do strajkujących. Chce być bardziej biedny niż górnicy, i aby się od nich jak najmniej odróżniać, czerni sobie twarz i ręce. „**Nasz przyjaciel Van Gogh — pisze około r. 1920 pewien piekarz z Wasmes do pisarza Ludwika Piérard — natychmiast po swym włączeniu w szeregi klasy robotniczej, poniżył się najzupełniej. W krótkim czasie wyżył się wszystkich swych ubrań. Gdy nie miał już ani koszuli, ani skarpetek sporządzał sobie — widzieliśmy to na własne oczy — koszule z płótna workowego**“.

Związek Kościołów Protestantckich Belgii wzruszył się tak wielką żarliwością: 1 października 1879 r. Van Gogh zostaje zastąpiony w Wasmes przez kogo innego. Opuszcza więc



Zakątek w parku. Rysunek. Epoka Arles

swoich przyjaciół w Borinage i aż do końca zimy 1880 r. wędruje piechotą z Brukseli do Tournai, ze wschodniej Flandrii do Courrière w Pas-de Calais, wszędzie głosząc hasła braterstwa. Utrzymuje się ze sprzedaży rysunków chłopom. Wtedy to dokonywa się w nim przemiana, którą nazwano buntem Van Gogha. Vincent wraca do Borinage, do swojej dawnej lektury londyńskiej, tj. do Micheleta, Renana, Hugo i Dickensa. Listy jego zawierają teraz mniej wzmianek biblijnych, obiecuje że powróci do „ołówka“ i że, być może, wszystko dla niego się odmieni. „Gdy znajdowałem się w innym otoczeniu — pisze do brata — wśród obrazów i dzieł sztuki, to wiesz dobrze, że ogarniała mnie dla tego otoczenia jakaś gwałtowna namiętność, dochodząca aż do entuzjazmu“.

Powołanie artystyczne Van Gogha odradza się (a nie „rodzi się“, jak mówiono) wśród jego przyjaciół - chłopów i górników. Robił już szkice w Londynie, dużo rysował podczas dwóch lat ewangelizacji. „Rysować — pisał — jest to czynność torowania sobie drogi poprzez nieustępliwą żelazną ścianę, która zdaje się odgradzać to co się czuje od tego, co się może“.

Po gorączce poniżenia — gorączka tworzenia. Naiwnie, z wysiłkiem, ale z pewnością decyzji rysuje kobiety przy pracy, chłopów przy posiłku lub w polu. Zaczyna nieśmiało malować szorstkie postacie tkaczy, wnętrza robotniczych mieszkań, grubo ciosane twarze, martwe natury (słynne wykoślawione buty)... w ciemnej tonacji, nastroju przypominającym Milleta, ale bardziej tragicznym. Nowa forma kaznodziejstwa i potrzeby służenia.

Wiosną 1881 r. Vincent wraca do swoich rodziców do Etten. Pracuje. Ro-

bi postępy w swych rysunkach chłopów i krajobrazów Brabantu. Ale zakochuje się w swej kuzynce, która go brutalnie odtrąca, a ojciec wypędza go z domu, zarzucając mu, że jest wykołajeńcem i że czyta niemoralne książki: Renana, Micheleta, Hugo. Następuje ponowny wyjazd do Hagi. Pobyt w tym mieście ma wielkie znaczenie dla jego sztuki malarskiej dzięki wskazówkom dalekiego kuzyna Antoniego Mauve, modnego wówczas malarza. W swych listach do Tea Van Gogh okazuje pewne lekceważenie w stosunku do Starego Testamentu, potępia „jego ciasnotę, jego zaraźliwy obłęd“, ale sam zawsze jeszcze jest gotów pełnić rolę odkupiciela.

Z początkiem 1882 r., ku wielkiemu zgorszeniu osób, z którymi styka się w Hadze, przygarnia Krystynę, nieszczęśliwą brzemienną matkę 5-ga dzieci, która stoczyła się na samo dno moralnej nędzy. Chora, przerażająco wulgarna, okrada Van Gogha, by mieć pieniądze na wódkę. Pomimo własnego ubóstwa Van Gogh opiekuje się nią i myśli nawet o małżeństwie: „Nie pierwszy to raz nie mogę oprzeć się jakiemuś sentymentowi do tych kobiet, pogardzanych i wyklinanych przez pastorów z wysokości ambony. Ja ich nie wyklinam, ja ich nie sędzę, ja nimi nie pogardzam“.

We wrześniu 1882 r. ulega błaganiom Tea, rozłącza się z Krystyną, zostawiając jej niewielką resztę swej gotówki. Głęboko zgnębiony, raz jeszcze szuka samotności wśród piaszczystych pustkowi północno-wschodniej Holandii. Jest nieszczęśliwy, wyczuwa, być może, pierwsze objawy obłędu. Szuka schronienia w Nuenen, u ojca, pomimo wszystkiego co ich dzieli. Stary pastor mięknie. Może zaczyna odgadywać genialność początkującego artysty, otacza



Schylona chłopka (ok. 1884-1885 r.)

go najtroskliwszą opieką, udaje, że nie dostrzega jego ekscentryczności w mo-
wie i ubraniu, które tak gorszą miejsco-
we dewotki. Vincent maluje martwe na-
tury; chłopci i tkacze służą mu na jego
prośbę za modele do kompozycji — aż
do chwili, gdy proboszcz i pewien mło-
dy pastor tworzą „wspólny front“ prze-
ciw temu „wariatowi“ i zakazują odłą-
dzić swoim wiernym pozować do obrazów.
Po krótkim pobycie w Antwerpii, gdzie
pracuje w Akademii (jako 31-letni uczeń
musi znosić docinki profesora Verlat).
ciągnie go do Paryża.

W końcu lutego 1886 instaluje się u
brata, przy ulicy Lepic 54, przez 3 mie-
siące mieszka do pracowni Cormona,
zbliża się do Lautreca i Emila Bernard,
i znajduje wreszcie nowe światło —
tworzy sobie nową wizję. Olśniewa go
twórczość Delacroix i impresjonistów:
Monet, Pissarro... i grafika japońska.
Zawsze tak samo nieśmiały, marzy o Ja-
ponii i znajduje jej „ekwiwalent“ w
Prowansji. „**Czyhałem, czy aby to już
nie jest Japonia, no cóż, dzieciństwo!**“

Arles i Saint-Remy (luty 1888 —
maj 1890) stanowią punkt kulminacyjny
dla dzieła Van Gogha. W ciągu 26 mie-
sięcy gorączkowej pracy kształtuje obli-
cze listonosza, Arlezjanki, żuawę, i
własną swą twarz z jej labiryntem
zmarszczek i zagadkową groźbą spoj-
rzenia. Tworzy na nowo sielankową
Prowansję kwitnących sadów, rozle-
głych płomiennych przestrzeni poprze-
cinanych kwadratami ornej ziemi i sze-
regami oliwek. Maluje wiązanki irysów
i słoneczników, wnętrza kawiarni, swój
pokój sypialny, ale także i gwiaździstą
noc, rozfalowane zielone zboża i pola
dyszzące żarem południa, ogniste zyg-
zaki cyprysów wytryskujące ku płyną-

cym obłokom i wirujące koła ustokrot-
nianych czasem słońc. Jakby genialna
siła urzekającej piękności poprzez pa-
tos swego koloru i wieczystość rysunku.
Pewnego dnia — może niedługo — kie-
dy cały światłisty przepych i wszystkie
dzikie kontrasty staną się jedynie bez-
barwną szarością pod przyćmionymi
słońcami—ten rysunek pozostanie, we-
dług jego własnego określenia, „**najbar-
dziej władczy, najbardziej przesadzo-
nym**“, nieskończenie zróżnicowanym
poprzez swą linię zygzakowaną, punkto-
waną linię, poprzez jej załamania, jej
drżenie i jej ostrości..., które pomagają
jeszcze wyrazić walory i plamy...

Marzył w Arles o „pracowni Połud-
nia“, pewnego rodzaju spółdzielni ko-
munistycznej, gdzie malarze pracowali-
by wspólnie. Do tej ekipy miał należeć
Gauguin, despotyczny w swych zapę-
dach guwernerskich, który sąsiadując z
chorym Vincent, doprowadzał go swy-
mi poradami niejednokrotnie do rozpa-
czy. 29 grudnia 1889 Van Gogh goni
za Gauguinem na ulicy, po czym wraca
do domu, obcina sobie kawałek prawe-
go ucha, zawija go w papier i znosi w
darze Racheli, pensjonariuszce domu
publicznego Nr 1. Zostaje umieszczony
w przytułku Saint-Rémy, gdzie jego
stan nerwowy nieco się poprawia. Wra-
ca do Paryża 27 maja 1890 r. Brat jego
Teo odwozi go do Auvers-sur-Oise i po-
wiera opiece wielbiciela artysty, dokto-
ra Gachet, który go umieszcza za cenę
3 franków dziennie w kawiarni Ravoux,
naprzeciwko merostwa.

Vincent wraca do pędzla, pracuje
nad szeregiem pejzaży, maluje portret
doktora w błękitnym szlafroku na kobal-
towym tle (dziś w Luwrze). Ale zbliża
się nowy kryzys. Wieczorem, 28 lipca

1890 r., w polu, Van Gogh pakuje sobie kulę rewolwerową w pierś i następnego dnia o świcie umiera.

Wizja świata Van Gogha staje się punktem wyjścia rewolucji plastycznej malarzy francuskich urodzonych między 1870 a 1880 r., których ochrzczono mianem „Dzikich“ („Les fauves“). Kiedy Van Gogh pisze: „Zamiast starać się oddać dokładnie to co mam przed oczyma, raczej posługuję się dowolnie kolorem, aby się mocniej wypowiedzieć“ — określa się sam jako poprzednik Marqueta, który w swych pejzażach z lat 1897 — 1900 był może pierwszym z „dzikich“, jak również Matisse'a oraz malarzy z Chatou: Vlamincka i Deraina z ich spotęgowaną kolorystyką lat 1905 — 1908.

A kiedy znów pisze do brata, że „ideałem jego jest stworzenie czegoś skrótownego, syntetycznego, uproszczonego i skoncentrowanego, pełnego spo-

kojnej i czystej harmonii i kojącego jak muzyka“ — wówczas staje obok Matisse'a, który w 1908 r. pisze w „Grande Revue“: „To, o czym marzę, to sztuka równowagi, czystości, spokoju, pozbawiona momentów rozpraszających i niepokojących — lek, który uśmierza i łagodzi“.

Wpływ Van Gogha, tego Van Gogha, który uosabia burzliwość wyrazu i sugestywność koloru — nie ogranicza się tylko do rewolucji malarskiej. 1905 r. Wpływ ten coraz to na nowo się przejawia w przypływach i odpływach współczesnych poszukiwań malarskich. Ilekroć jakiś artysta, pragnąc przekazać swoją emocję, ucieka się do budowania obrazu poprzez bryłę kolorystyczną — zawsze powraca automatycznie do namiętności lirycznej i do gramatyki kolorów, którą zapoczątkował wielki tragiczny Vincent — „prymityw nowej sztuki“.



DWIE BAJKI

YASHPALA



Prawo do łez
Mój Boże, co za dzieci!

Prawo do łez

UBIÓR rozgranicza różne klasy społeczne, określa pozycję człowieka i jego prawa w stosunku do bliźnich. Elegancki strój otwiera wiele drzwi, które w innym wypadku pozostałyby dla nas zamknięte. Czasem jednak, gdy chcielibyśmy w specjalnych okolicznościach zbliżyć się do klas niższych, by poznać ich uczucia i przeżywać je razem z nimi, ubiór nasz staje się przeszkodą, nie pozwala nam bowiem włączyć się w ich życie. Tak jak prądy ciepłego powietrza przeszkodzą latawcowi zerwanemu ze sznurka opaść na ziemię, tak samo ubiór nasz w pewnych okazjach przeszkadza nam w zdobyciu zaufania ludzi niżej od nas stojących.

Na Placu Targowym kobieta w wieku około pięćdziesięciu lat siedziała w kucki w samym środku przejścia. Dokoła niej leżały dojrzałe melony: jedne wyłożone już na ziemię, inne jeszcze w koszu. Melony te prawdopodobnie były na sprzedaż, lecz nikomu nie przychodziło do głowy kupować je, bo jakże targować się z kupcową, która skryła głowę między kolana i przykrywszy twarz szmatą zalewa się gorącymi łzami.

Wokół, siedzący na drewnianych ławkach w sąsiednich kramikach lub stojący obok ludzie, dyskutowali obserwując kobietę. Głosy ich brzmiały pogardliwie, spojrzenia były gniewne. Co do mnie, to łzy kobiety rozdzierały mi serce, lecz jak poznać ich przyczynę? Strój mój był przeszkodą nie do przebycia dla nawiązania łączności między jej zmartwieniem, a moją sympatią. Człowiek stojący koło mnie splunął lekceważąco i oświadczył: „Och jacyż są dzisiaj ludzie! Młody jej syn zmarł wczoraj. Ledwo jeden dzień upłynął, a kobieta ta bezwstydnie przyszła sprzedawać swoje melony“. Inny człowiek powiedział drapiąc się w brodę: „Bóg daje każdemu to na co zasłużył“. Trzeci osobnik, stojący nieco dalej, dłubiąc w uchu zapalką, wykrzyknął: „Jakie znaczenie ma śmierć dla takich ludzi! Te świny nie znają nic innego poza napchaniem kałduna. Zdechliby dla kawałka chleba! To jedyna rzecz, którą pojmują. Chleb jest ich synem, ich żoną, ich religią i ich moralnością“.

Właściciel sąsiedniego kramiku z towarami kolonialnymi przyłączył się do rozmowy: „Posłuchajcie, rzekł, życie i



śmierć mogą być bez znaczenia dla tych ludzi, lecz powinni by przynajmniej uszanować obrzędy i obyczaje innych. Wiecie chyba, że po dorosłym synu obowiązują trzynastodniowa żałoba. Wiecie także, że kto nawiąże jakiekolwiek stosunki lub rozmowę z matką przed czasem przepisowym, będzie splamiony i oczyści go dopiero pokuta. A oto właśnie ta kobieta, ta matka siedzi na targu i sprzedaje melony. Tysiące osób zbliżają się do niej, nie wiedząc, że śmierć była w jej rodzinie, że kobieta ta znajduje się w stanie nieczystym. Mógłby ktoś nieświadomie kupić od niej melony. Ta sytuacja jest nie do zniesienia!”

ZASIĘGNAWSZY wiadomości od przechodniów, dowiedziałem się paru szczegółów o całej tej sprawie. Rodzina sprzedawczyni melonów składała się z dwudziestotrzyletniego syna, jego żony i ich dwojga dzieci. Jedyńm środkiem egzystencji był mały kawałek ziemi pod miastem, gdzie uprawiali zaleźnie od pory roku jarzyny lub owoce na sprzedaż. Syn zanosił na targ kosz pełen melonów i szedł do pracy w polu zostawiając owoce matce. Przed dwoma dniami, zbierając melony w półnroku poranku, młody człowiek nadepnął na węża zwinieęgo na wilgotnym kamieniu. Wąż wyprężył się nagle i ugryzł go.

Zrozpaczona matka pobiegła do czarownika-uzdrowiacza, który spróbował magii, zastosował przeróżne uroki, wzywał i adorował bożka węzów. Rodzina złożyła w ofierze cały zapas mąki i zboża, który był w domu. Matka, żona i dzieci rzuciły się na bezwładne ciało, a rozdzierające ich krzyki rozlegały się daleko poza domostwem, lecz młody człowiek nie odzywał się i nie odezwał się już nigdy. Ciało jego pod wpływem jadu żmii stało się czarne.

Zywi mogą być nadzy, lecz umarli muszą mieć całun i całun ten powinien być zrobiony z nowego kawałka materiału. Matka sprzedała wszystkie drobne kosztowności i przedmioty z miedzi, które posiadała, dla kupienia całunu.



CZŁOWIEK, który zarabiał na chleb dla rodziny, nie żył. Resztki żywności i pieniędzy zostały ofiarowane kapłanowi w podzięce za ceremonie pogrzebowe. Nazajutrz dwoje małych sierot zaczęło płakać z głodu. Babka ukoila je melonami, lecz nie zdołała nakarmić nimi synowej, która leżała z wysoką gorączką. Obecnie, gdy nie było już mężczyzny w rodzinie, nikt nie chciał pożyczyć pieniędzy, nawet najdrobniejszej sumy. Nieszczęsna

babka otarła łzy, włożyła do kosza melony zebrane przez syna dnia poprzedniego i wyruszyła na targ. Nie było innego wyjścia.

Zebrała wszystkie swe siły, by mieć odwagę na dokonanie tego czynu, lecz znalazłszy się na placu nie mogła się zmusić do rozmowy z ewentualnymi klientami. Zakryła więc twarz szmatą i schowawszy głowę między kolana, zanosiła się od płaczu.

Syn jej zmarł zaledwie wczoraj, a kobieta ta przychodzi na targ; cóż za serce z kamienia!

Usiłowałem zrozumieć intensywność jej bólu porównując go do bólu innej matki, która była moją sąsiadką i straciła syna zeszłej zimy. Była tak zdruzgotana, że w ciągu trzech miesięcy nie podniosła się z łóżka. Bredziła, mówiła słowa bez związku. Ból jej był tak intensywny, że łzy nie przestawały płynąć z jej oczu. Pielęgowali ją dwaj lekarze, a od czasu do czasu zwilżano jej czoło lodem. Całe miasto zostało poruszone tą bezdenną rozpaczą.

Rozpychając przechodniów pobiegłem do domu. Za wiele niezrozumienia i rozczarowań mąca myśl i zmuszają człowieka do przyśpieszenia kroku. Czyż do zachowania odpowiedniej żałoby koniecznie trzeba mieć czas i pieniądze? Zadawałem sobie to pytanie, lecz narzucała mi się jedynie odpowiedź, że tylko mała liczba ludzi ma prawo do łez.



Mój Boże, co za dzieci!

PAN JOSHI i dr Khan byli sąsiadami. Byli to ludzie zacni i utrzymywali ze sobą jak najlepsze stosunki. Rodzina Joshi poważana była wśród bra-minów, rodzina Khan cieszyła się równie dobrą opinią wśród muzulman-ów. Obydwaj niewielką jednak przywiązywali wagę do tej różnicy wy-znań. Pan Joshi był wybijającym się w swoim zawodzie adwokatem, dr Khan najlepszym lekarzem okolicy. Obaj byli ludźmi o postępowych ideach i po-glądach. Byli dostatecznie tolerancyjni, aby pozwolić swoim rodzinom spotykać się z ludźmi innego wyznania, ale tylko w kuchni lub na wewnętrznym po-dwórku. Nie lubili jednak, aby dzieci ich bawiły się z brudnymi dziećmi biednych sąsiadów.

Chociaż istnieją oddzielne szkoły dla braminów i mahometan, chłopców i dziewcząt, rodziny o nowoczesnych poglądach wołały posyłać swoje dzieci do szkół misjonarzy chrześcijańskich, gdyż panowała tam atmosfera czystości i kultury. Anglicy cywilizując ten kraj pozostawili swoim współwyznawcom w spadku higienę i kulturę. Zarówno adwokat jak i doktor, jakkolwiek przywiązani do wysokiej cywilizacji, jaką odziedziczyli po kapłanach i mędrcach i świadomi więzów kasty i religii, jakiej winni byli przestrzegać, wołali jednak zachodni styl życia. I dlatego też obie córki pana Joshi, Neeloo i Usha, chodziły do jednej szkoły z dziećmi dr Khan, Banne i Naseem, chłopczykiem pięcioletnim i dziewczynką siedmioletnią. Neeloo i Naseem, będąc sąsiadkami i rówieśniczkami, bardzo się zaprzyjaźniły. Bawiły się lalkami, jak wszystkie dziewczynki w ich wieku w Indiach. Budowały ze starej teklury domki dla swoich lalek i urządzały śluby i chrzest swoich „dzieci“, zapraszając się wzajemnie na te uroczystości. Wszystkie lalki „panowie“ nosiły stroje europejskie, ale lalki „panie“ miały stroje trochę różne. Jedna lalka Neeloo nosiła sari, druga szeroką spódnicę typowo hinduską, trzecia lekką suknię. Lalki Naseem nosiły albo salwar, albo ghara-ra na modłę muzułmańską, albo suknię europejską. Te różnice strojów, które podkreślały różnice religii obu rodzin, nie powodowały kłótni dziewczynek, chociaż Naseem prosiła matkę zawsze o lalkę w stroju hinduskim, a Neeloo chciała koniecznie mieć lalkę, noszącą muzułmańskie ghara-ra.

Dzieci bardzo się ze sobą przyjaźniły. Śpiewały, tańczyły, bawiły się razem. Ilekroć dr Khan przychodził do domu na podwieczorek i zastawał Neeloo i Usha, wołał je do siebie i częstował ciasteczkami i cukierkami. Dzieci troszczyły się o zdrowie swoich lalek i zawsze obiecywały uroczystie zanieść im czekoladki, ale oczywiście natychmiast zapominały o obietnicach. Często, gdy matka Naseem dawała podwieczorek swoim dzieciom, Usha i Neeloo były właśnie u nich. Pani Khan chętnieby je poczęstowała, ale nie ośmielała się ofiarować braminom jedzenia, przyrządzonego w jej kuchni. Częstowała je więc rzeczami, które przyrządzone były nie ręką ludzką, ale boską, Allaha, ojca zarówno Hindusów, jak i muzułmanów. Częstowała je po prostu owocami lub ciastkami czy cukierkami fabrycznymi.

W domu pana Joshi Naseem i Banne mogli jeść wszystko, gdyż bramin nie może przypuszczać, iż ktokolwiek waha się przyjąć coś z jego ręki, uważa



się on bowiem za najświętszą wśród istot ludzkich. Trudności tkwiły w czym innym. Gdy matka lub babka Neeloo dawała swoim dzieciom coś do jedzenia na talerzu albo w filiżance z miedzi, zwracała specjalną uwagę, by Banne i Naseem podać nakrycie porcelanowe lub szklane. Według wierzeń muzułmanów bowiem przedmioty miedziane są

święte, podczas gdy porcelana i szkło są nieczyste. W domu u pana Khan używano zawsze nakryć miedzianych. Jakkolwiek czysty i godny szacunku byłby muzułmanin, jak miłe byłyby jego dzieci, nie można podawać im do stołu w tych samych naczyniach, w jakich jedzą bramini. Jeśli muzułmanin,



albo parias użyje przez nieuwagę talerza lub nakrycia braminów, przedmioty te muszą być potem wypalane ogniem, gdyż stają się nieczyste. Gdy matka i żona pana Joshi siadały w kuchni do jakiegoś posiłku, prosiły one zawsze grzecznie Naseem i Banne, aby wyszli się bawić. Wystarczy bowiem jedno spojrzenie muzułmanina, albo pariasa, rzucone na jedzenie, aby dla Hindusa wysokiej kasty stało się one nieczyste. Matka i babka Neeloo często tłumaczyły dzieciom, że w kuchni nie należy się bawić. Łajały je mówiąc: „aby nigdy nie przyprowadzały Banne i Naseem ani do kuchni, ani do pokoju modlitwy“. Dzieci nie rozumiały tych różnic. Banne, chłopczyk zaledwie 5-letni, nie zajmował się subtelnościami, ale Naseem często o tym myślała.

NEELOO tak często urządzała „śluby“ swoich lalek między sobą, że postanowiła dla odmiany urządzić wesele jej pięknej lalki z lalką „panem“ Naseem. Neeloo i Naseem miały więc zostać powinowatymi. Przygotowania do uroczystości odbywały się na werandzie, ale obie dziewczynki w poszukiwaniu jakichś szmatek pobiegły do kuchni.

Matka i babka Neeloo właśnie posłały panu Joshi tacę z podwieczorkiem i zamierzały same zasiąść do jedzenia w kuchni, z nieodłącznym nakryciem z miedzi. Bardzo się zdziwiły zobaczywszy nagle wbiegające do kuchni obie dziewczynki. Odesłały je z powrotem, obiecując przysłać im wszystko, co im będzie do zabawy potrzebne. Nie był to pierwszy taki wypadek, ale tym razem Naseem poczuła się tym dotknięta i obejmując przyjaciółkę, zapytała: „Powiedz mi, dlaczego twoja mama i babcia nie pozwalają mi wejść do kuchni, dlaczego przestają jeść, kiedy ja wchodzę?“.

Neeloo zmarszczyła brwi i nachylając się do ucha Naseem szepnęła:

— Ty wiesz, że jesteś muzułmanką.

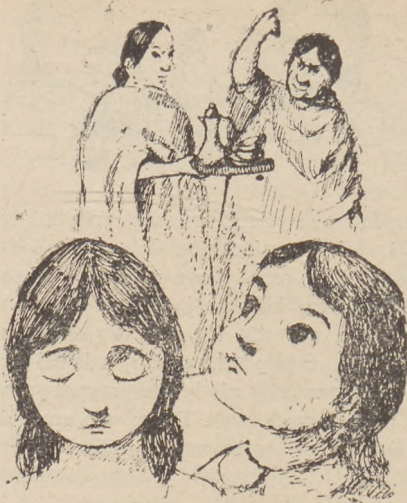
Naseem pomyślała chwilę, po czym rzekła:

— A ty nie jesteś muzułmanką?

— Nie — rzekła Neeloo — ja jestem Joshi. Twoja Ammiżan nosi gharara, ona jest muzułmanką. Mama nosi sari — ona jest Joshi.

— Ale ty też nie nosisz sari — oświadczyła Naseem. — Ty nosisz sukienkę tak jak ja.

— To prawda — odrzekła Neeloo po namyśle — ale my jesteśmy dziećmi. Kiedy będziemy dorosłe, ja będę nosiła sari, jak mama i będę Joshi. A ty bę-



dziesz nosiła gharara, jak Annim-
żan i będziesz mużulmanką. I
wtedy ja nie będę nie jadła w
twojej obecności i nic, co ty zro-
bisz twoimi rękami. Teraz to
nie jest ważne, bo my jesteśmy
małe dzieci.

— Jeżeli ty nie zjesz niczego,
czego ja dotknę, to i ja nie zjem
tego, czego ty dotkniesz — po-
wiedziała Naseem. Kiedy będzie-
my dorosłe, to będziemy bramin-
kami i mużulmankami. I będzie
wielka walka między braminami
i mużulmanami. Będziemy się bi-
li, jak długo będziemy mogli. To
będzie bardzo śmieszne.

— Jeżeli nasze lalki nie mo-
gą się pobrać, to urządzimy im
bójki. Ty zasztyletujesz moją lal-

kę, a ja twoją i spalimy domki naszych lalek. To będzie okropnie śmieszne

Neeloo zgodziła się i Naseem powiedziała do niej:

— Pędź do kuchni i przynieś nóż do jarzyn. Robimy bitwę lalek.

Neeloo pobiegła do kuchni i poprosiła babkę o duży kuchenny nóż. Babka zdzi-
wiona spytała:

— Nóż, po co ci nóż? Nie dam ci, skaleczysz się.

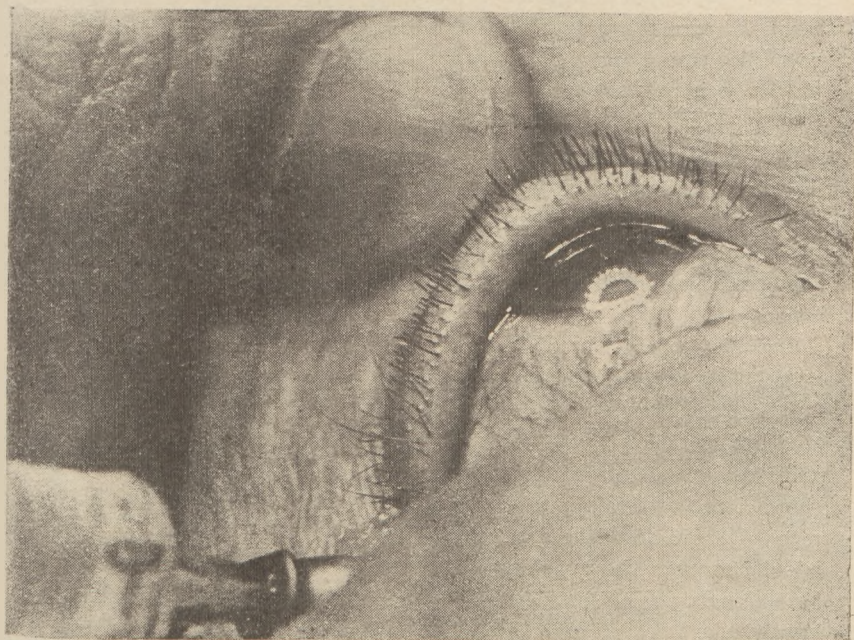
— Ależ nie, nie zrobimy sobie nic złego — nalegała Neeloo — będziemy się
bawić w bitwę bramin - mużulinańską. Daj babciu ten nóż, prędko.

Babka wytrzeszczyła oczy, złapała się za głowę z przerażenia i zawołała do
matki Neeloo:

— Chodź, chodź prędezej. Popatrz. O mój Boże! Co za dzieci!



OPERACJA KATARAKTY



BŁYSKAWICZNY ZABIEG



WYWODZĄCA swoją nazwę z tego, że w starożytności sądzono, iż jest ona wywołana „padaniem humoru na oczy” — „katarakta” (zaćma) nie jest spowodowana — jak to można jeszcze od czasu do czasu usłyszeć — istnieniem bielma na oczach. Zaćma, która może mieć wiele przyczyn (cukrzyca, zaburzenia gruczołowe, uraz, starzenie się ustroju), a nawet być sprawą wrodzoną, lub po prostu następstwem kuracji odchudzającej — powstaje wyłącznie na skutek postępującego zmętnienia soczewki ocznej, położonej poza źrenicą, która to soczewka, wygodnie umieszczona w swojego rodzaju lorebce, zapewnia automatyczne nastawianie na ostrość obrazów rzuconych na siatkówkę.

Zaćma może być częściowa lub całkowita, a nazywamy ją „dojrzałą“ skoro wszystkie włókna obwodowe soczewki są objęte zmętnieniem. Od tego momentu choremu nie można przywrócić wzroku w inny sposób, jak przez wydobywanie soczewki, chyba że chodzi akurat o taki rodzaj zaćmy urazowej, który wsysa się spontanicznie, a który stanowi o sukcesach pewnego rodzaju szarlatanów.

Technika operacji została opracowana przez Daviela, okulistę francuskiego z XVIII wieku. Sam zabieg trwa — w zależności od zręczności operatora i zachowania się chorego — sześć do dziesięciu minut i oznacza się zupełną bezbolesnością i brakiem krwawienia. W chwili obecnej istnieją dwa rodzaje zabiegu: jeden, polegający na wydobyciu równoczesnym soczewki wraz z torebką, który określa się jako wydobywanie wewnątrztorebkowe, drugi — wydobywanie pozatorebkowe, w którym operator, po nacięciu torebki (celem uwolnienia soczewki), pozostawia ją na miejscu.

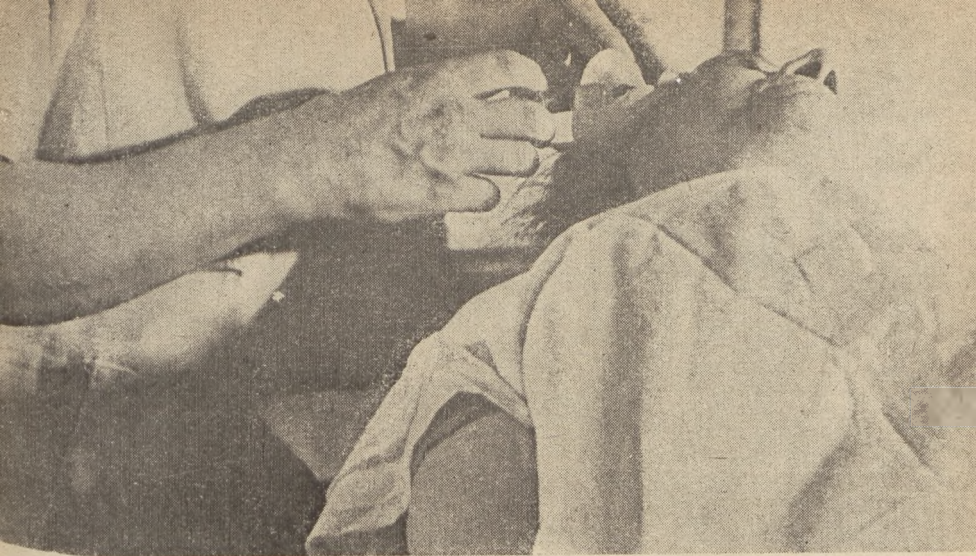
1) Chorego kładzie się na stole operacyjnym, a asystent skierowuje światło lampy bezcieniowej na oko operowane w taki sposób, by uniknąć oślnienia a następnie przystępuje do „toalety oka“, która dotyczy zarówno powiek jak i spojówki (powierzchnia wewnętrzna powiek).

Po wpuszczeniu kropli kokainy, przemycy się powieki jod-gliceryną a następnie przepłukuje załamki spojówkowe tzn. dno wewnętrznych fałdów powiekowych — wyjąłowym roztworem, używając do tego specjalnej nasadki, dostającej się gładko pod powieki i nazwanej nasadką Moraxa.

Po toalecie oka przystępujemy do znieczulenia, przez zakropienie kokainy. W tym celu operator uzbraja się w strzykawkę z nasadzoną cienką igłą i wstrzykuje w każdym z tych położań 2 cm sześć. nowokainy w tkankę mięśniową, paraliżując w ten sposób wszelkie ruchy mięśni otaczających oko, usuwając u pacjenta ryzyko pierwotnego odruchu, powodującego zaciskanie powiek w momencie gdy to jest najniebezpieczniejsze.

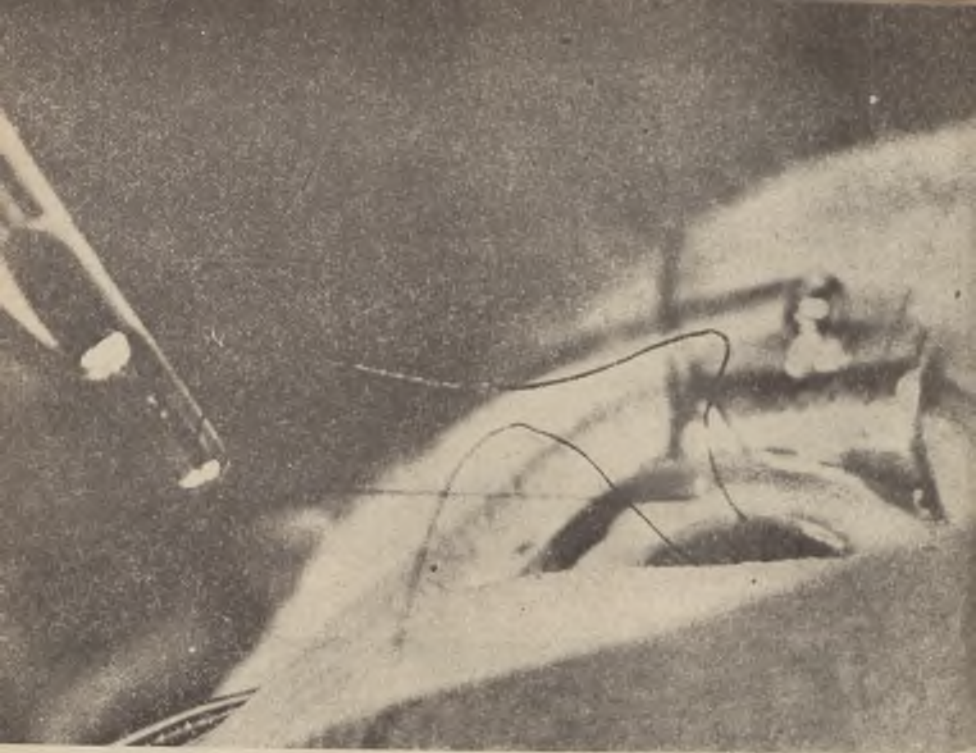
2) Po wykonaniu akinezy operator zakłada rozwórkę przeznaczoną do utrzymania powieki w położeniu rozwartym, następnie okrywa chorego specjalną serwetą sterylną z wykrojonym okrągłym otworem, pozostawiając odkrytą tylko okolicę oka. Czoło, brew, nos i szczyłka górna zostają zastonięte — jest to „pole operacyjne“.

Teraz operator usadawia się poza głową chorego jeśli sprawa dotyczy oka prawego, lub z jego lewej strony jeśli lewego. — Może on włożyć rękawiczki, lub też nie, gdyż praktycznie palce jego nie stykają się nigdy z polem operacyjnym.



1.





3) Przede wszystkim podwizuje „prosty górny” — jeden z mięśni ruchowych gałki ocznej — przy pomocy nitki nawleczonej na igłę i przeciąganej przy pomocy specjalnej pincety.

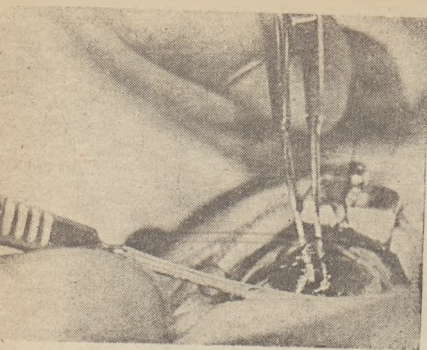
Są to równocześnie jakby lejce i dźwignie, w toku zabiegu unieruchamiające gałkę oczną, lub też skierowujące ją ku dołowi dla lepszego udostępnienia rogówki.

Kilka kropel adrenaliny wstrzykuje się następnie pod spojówkę, ażeby spotęgować rozszerzenie źrenicy i zapobiec jej odruchowemu zwężeniu się po otwarciu komory przedniej oka; potem operator bierze nitkę dla założenia szwu w formie pętli, w celu zabezpieczenia zaniknięcia się rany rogówki po wydobyciu soczewki lub w razie potrzeby, do zapobieżenia przez proste pociągnięcie nitki wydobywania się ciała szklanego.

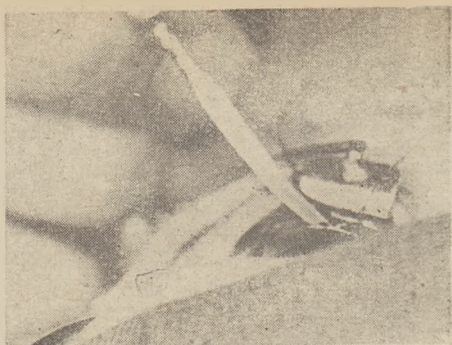


4) Zabieramy się wreszcie do właściwego zabiegu operacyjnego. Trzymając w prawej ręce pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym nie lancet, lecz długi wąski nożyk, ostry i sztywny o nazwie „nożyk Graefego” operator rozpoczyna cięcie rogówki czyli keratomię. W tym celu wkuwa nożyk Graefego poprzez rogówkę do komory przedniej oka, starając się uniknąć dotknięcia tylnej powierzchni rogówki, tęczęwki lub soczewki. W czasie całego cięcia operator śledzi uważnie czubek nożyka poprzez silnie załamującą światło rogówkę i kieruje go do punktu wyjściowego po przeciwnej stronie oka, gdzie w miejscu przeznaczonym do tego nożyk zostaje wykluty na zewnątrz. Teraz operujący nadaje instrumentowi szybki ruch „pilu-jący” wywołany wyłącznie przez ruch palców — przy czym ręka pozostaje nieruchoma.

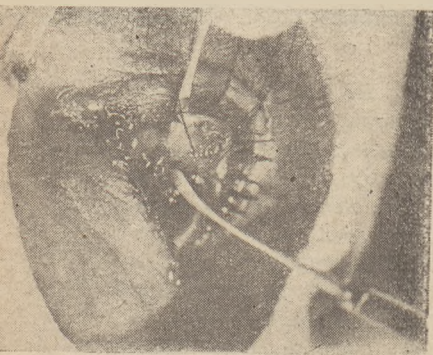
Wyjście noża wykonywuje się powoli, bez przecinania i osiąga się w ten sposób pasek „płacka spojówkowego”. Przystępujemy teraz do wyjęcia tęczęwki (trydektomii).



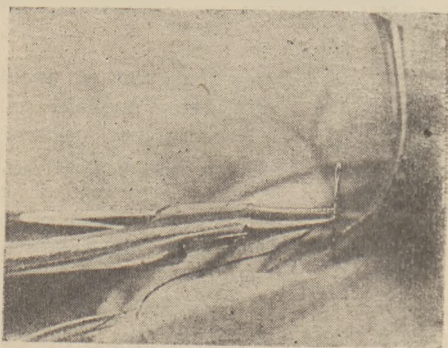
5) Odłożywszy ku przodowi płatek spojówkowy chirurg przecina tęczówkę lub dokładnie mówiąc wycina duży otwór u jej nasady



7) Torebka soczewki zawiera w sobie soczewkę, którą operator będzie mógł teraz wydobyć albo za pomocą szczypczyków, albo jak na fotografii — przy pomocy „łyżeczki“.



6) Nic mu nie pozostaje więcej — po tej obwodowej irydektomii — jak wprowadzić szczypczyki poprzez te różne cięcia i po podejściu pod tęczówkę pochwycić delikatnie torebkę soczewki.



8) Po odłożeniu z powrotem rogówki wkrapla się oleisty roztwór ezerynu, powieki smaruje maścią penicylinową, później zaszywa się powiekę oka operowanego, by zapewnić szczelne jego zakrycie.

9) Oba oczy zakrywa się teraz opatrunkiem dwuocznym.

Pacjent pozostaje w pozycji leżącej z nienaruszonym opatrunkiem przez 2 dni. W praktyce krążenie jest przywrócone po upływie 24 godzin. Osiemnaście godzin po zabiegu chory nie powinien odczuwać żadnego bólu. Nitki zapewniające zamknięcie oka usuwa się

na siódmy dzień a chory wraca do normalnego życia między 15 a 20 dniem.

Jakkolwiek bardzo precyzyjna, operacja zaćmy przy obecnej technice nie grozi niepowodzeniem, a jeśli okuliści nie operują nigdy obu oczu równocześnie to tylko dlatego, że chory może przesunąć opatrunek albo upaść, krótko mówiąc naruszyć prawa bezpieczeństwa, które są wymagane, i przekreślić w ten sposób wynik udanej operacji.

Tekst i zdjęcia

NOEL BAYON





W KRAINIE FUTER I CUKRU

ARMAND BERUBE

JESTEM futrzarzem w Montrealu. Każdy mieszkaniec Kanady odgadnie, że jestem francuskim Kanadyjczykiem: po pierwsze z powodu mego nazwiska Armand Bérubé, które zresztą ziomkowie moi pochodzenia angielskiego przekręcają na Barry Bee lub Burybe, po drugie zaś dlatego, że w Montrealu znaczna część ludności z prowincji Quebec jest pochodzenia francuskiego. Do przodków swoich zalicza ona Jacques Cartiera, który odkrył Kanadę w 1534 r., Champlaina, który założył Quebec oraz dzielnych kolonistów z Normandii i z Poitiers, którzy przez 100 prawie lat opierali się wojskom angielskim rozlokowanym w stanie Manitoba na zachód od naszej prowincji.

Anglicy poddali Kanadę swym wpływom w 1763 r., lecz nie udało im się usunąć z miast naszych kultury i cywilizacji francuskiej. Jeżeli dziś np. mu-

szyć z równą biegłością posługiwać się językiem angielskim jak francuskim, to jednak wszystkie plakaty, banknoty i akta urzędowe są drukowane w obu językach.

Staramy się zresztą bronić naszych praw i zachowywać tradycje podobnie, jak emigranci pochodzenia irlandzkiego na kontynencie amerykańskim, zgrupowani w Towarzystwie Św. Jana Chrzciciela, którego święto obchodzą radośnie 24 czerwca. Emigranci zaś, którzy lądują dziś na ziemi kanadyjskiej, dzielą się według swego pochodzenia; Francuzi osiadają przeważnie w Quebec lub Montrealu; Anglicy natomiast kierują się na zachód, gdzie wszystkie miasta, jak Vancouver, Winnipeg, Saskatoon są zamieszkałe przez ludność pochodzenia angielskiego, z wyjątkiem miasta Św. Bonifacego, gdzie ludność jest w 100 procentach francuska.

Jeżeli chodzi o mnie to jestem związany w znacznej mierze z dawnymi mieszkańcami Kanady, Indianami. W handlu futrzarskim praca jest sezonowa: zanim przystąpi się do wyprawy skór, traperzy muszą wyruszyć na Północ i spędzać długie miesiące na polowaniu. Otóż ludzie ci, to przeważnie Indianie. W pierwszych miesiącach zimy udają się na lodowate obszary zatoki Hudsona i Labradoru, gdzie walczą z zamieciami, mrozami i żyją w chatkach, znajdujących się jedna od drugiej w ogromnej odległości. Niektórzy zabijają tam swoje rodziny; inni, co zdarza się jednak bardzo rzadko, mieszkają samotnie: czasami dwóch lub trzech traperów mieszka razem, dzieląc się zdobyczą.

Nieraz spotykałem tych ludzi na wielkich targach futer i jakkolwiek nigdy nie polowałem i nie byłem na Dalekiej Północy, rozmowy, które z nimi prowadziłem, zdają się potwierdzać, że liczne książki, które napisano na ich temat nie przesadzają w niczym opisując ich niezwykle instynkt myślowy. Co się zaś dotyczy literackich opowiadań i pogoni wśród lasów, to odnoszą się one do dawno minionych czasów. Tereny łowieckie nie były rzeczywiście dawniej podzielone i strasz-

liwe właśnie prowadzić nieraz aż do morderstwa wybuchały pomiędzy traperami, skoro jeden z nich zabrał zwierzę schwytane w sidła przez innego; dziś tereny te są podzielone i każdy traper ma swój „okręg“.

Nie ulega jednak wątpliwości, że życie traperów na Dalekiej Północy jest niezwykle ciężkie. Trzeba iść codziennie wśród lodów, tropić zwierzę, obozować na mrozie i miesiące zimowe mijają na zastawianiu sidła, na chwytaniu zwierząt, które w nie wpadły i zdejmowaniu z nich skór. Strzelby prawie się nie używa, gdyż śrut uszkadza futra. Zwierzyna jest różnorodna: bobry, dzikie koty, które należą do najpiękniejszych na świecie i których zresztą prowadzi się dziś sztuczną hodowlę, wydry kanadyjskie, szczury piżmowe i nurki kanadyjskie, małe zwierzątka w rodzaju łasicy długości około 50 cm, które spotyka się najczęściej na Labradorze. Polowanie na nurki jest bardzo trudne i traperzy są niezmiernie zadowoleni, gdy uda im się schwycić ich kilka, po pierwsze dlatego, że futro ich jest bardzo drogie, po drugie zaś, że mają doskonałe mięso.

Pod koniec wiosny traperzy udają się na Południe, by sprzedać surowe skóry na wielkich targach; skóry sprzedaje się partiami, które traperzy ofiarują przedstawicielom wielkich towarzystw; ci oglądają skóry, porównują je, ustalają i omawiają ceny zależnie od długości i jakości futra. Trzeba tu stwierdzić, że ceny płacone traperom różnią się bardzo od cen sprzedażnych w Montrealu; skórę kupioną od traperza za 80 centów odsprzedaje się za 1 dolara 50 centów na przetargu w Montrealu. Tego roku „zielona“ skóra piżmowca była notowana w Montrealu 3 dolary 50 centów.

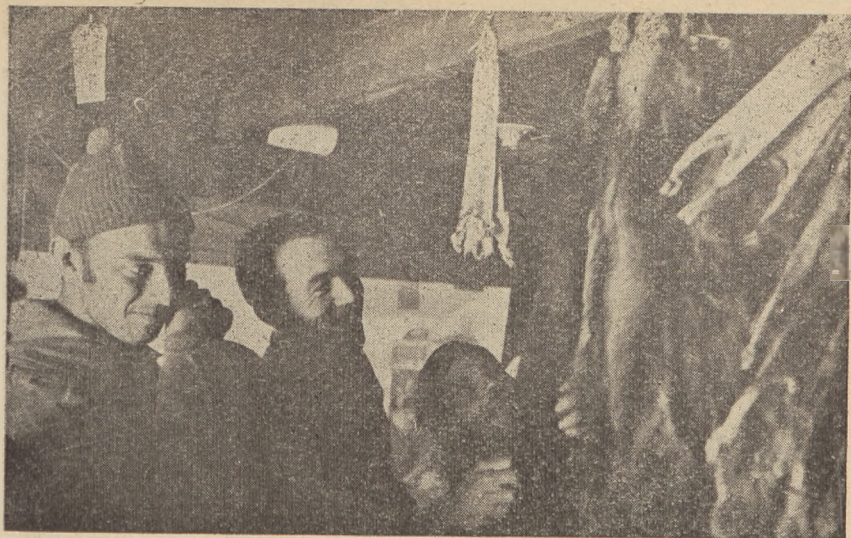
Po tej licytacyjnej sprzedaży, podczas której rozmaite towarzystwa walczą między sobą o najlepsze skóry, zaczyna się moja praca; nie zaraz, gdyż przed przycinaniem skóry się prasuje, a nie wyprawia wbrew ogólnemu mniemaniu; wyprawa popsułaby włos. Zapewne w porównaniu do życia trape-



*Nurek, król zwierząt
futerkowych*

*Schwytane zwierzątka
trzyma się w okruto-
wanych skrzynkach*





Owoc łowów traperów
z Labradoru



Piękne futro i piękny
pies



Sok zebrany z klonów przewozi się do ustawionych w lesie kadzi.





Uczniowie sąsiedniego liceum przybyli z pomocą. Za pracę należy się nagroda.



rów zagubionych w północnej tundrze, zawód mój wydaje się monotony, pozbawiony uroku przygody.

Młodzi przykrawacze boją się popuszczać futra, boją się omyłek. Starzy fachowcy znają technikę zawodu, umieją przyciąć bezbłędnie każde futro, nurka czy też kanadyjskiego kota; następnie kawałki zszywa się i z warsztatów kuśnierzy wychodzą futra, które Kanada eksportuje na wszystkie rynki świata.

Jesienią Indianie znów udadzą się na Północ, by łowić zwierzęta i zdejmować z nich skóry, a dla nas nastaje okres bezrobocia, aż do najbliższej wiosny. Niektórzy robotnicy korzystają z ubezpieczenia przeciwko bezrobociu w martwym sezonie, pozostali szukają innego zajęcia.

Ja przynajmniej mam to szczęście, że krewni moi są farmerami w kantonie Bois - Francs niedaleko Quebec i zimą spędzam na wsi.

W ZIMIE NIE MAM PRACY

Okolica jest prześliczna: liczne jeziora pełne świetnych ryb, niewielkie wzgórza i regularne przestrzenie pól i lasów. Tu i tam wioski lub pojedyncze farmy, zbudowane z drzewa i kamienia, pola z murami białymi wapnem i dachy z gontów cedrowych pomalowane na niebiesko lub czerwono zależnie od partii politycznej, do której należy farmer. To malowanie dachów jest dawnym zwyczajem kanadyjskim przywiezionym, jak mówią, przez Normandów; niebieski dach u konserwatystów, czerwony u liberałów. U moich kuzynów dach jest czerwony.

Jak u większości chłopów kanadyjskich rodzina jest bardzo liczna; piętnaścioro dzieci.

Nie chciałbym twierdzić, że wsie kanadyjskie są czymś wyjątkowym na świecie, nasi chłopci mają swoje tradycje, swoje zwyczaje, ale praca ich jest taka sama, jak chłopów chińskich lub niemieckich. Jednakże wsie mego

kraju mają właściwość, która, jak sądzę, jest wyłącznie kanadyjska: to zagajniki klonowe. W każdej małej posiadłości, przy farmie lub na skraju pól rosną klony, które co roku dostarczają farmerom cukru i syropu klonowego. Wiadomo, że w herbie Kanady widnieją liście klonu, który jest drzewem narodowym Kanady i że już na długo przed przybyciem Europejczyków na kontynent amerykański Indianie umieli wytwarzać cukier klonowy; oni to zresztą zapoznali francuskich kolonistów z tą produkcją. Ale od tego czasu metody fabrykacji znacznie ulepszono. Na 60 milionów klonów, które liczy Kanada, 25 milionów podlega eksploatacji, z czego 82 procent w prowincji Quebec, a reszta w Ontario, Manitobie i prowincjach nadmorskich.

W kantonie Bois-Francs każdy chłop ma 3 akry lasu. U moich krewnych są piękne klony, które mają po 25 lat i ponad 40 stóp wysokości; są tak grube, że nie można ich objąć ramionami. Drzewa te otacza się specjalną opieką i wyrębuje się wokół nich, by lepiej rosły, wszystkie słabsze klony. Z reguły rąbie się klony co 30 lub 40 lat. Na Północy spotyka się drzewa „plonne” rodzaj klonów - mieszańców o mniej twardej korze i mniej słodkim soku. W połowie marca lub początku kwietnia zaczyna się „sezon cukru”.

Niestety wtedy właśnie muszę wracać do Montrealu, by rozpocząć pracę; co roku wyjeżdżam z żalem, gdyż sezon cukru jest jedną z najradośniejszych uroczystości w Kanadzie. Cała rodzina chodzi po lesie w jasnym blasku ostatnich dni zimowych; dzieci bawią się wśród klonów lub noszą drzewo i wiadra; matka przygotowuje pożywienie ze słoniny ze świń zabitych w jesieni, starsi piłują parników. Co roku postanawiam wziąć urlop w sezonie cukru, pozostać u krewnych dopóki sok nie zacznie płynąć z drzew i nagle zachodzi coś niespodziewanego lub po prostu konieczność zarobienia na życie i muszę wracać.

Jednakże kilka razy zostałem. Gdy śnieg zaczyna topnieć, gdy słońce sta-

ie się coraz gorętsze, a odbicie jego promieni od śniegu coraz bardziej ośniewające, farmerzy nacinają pnie klonów, zakładają w nie białe ry- nienki, do których przyczepiają „ko- ciołek“, tj. aluminiowe wiaderko. Po stajaniu śniegu promienie słoneczne ożywiają klony; sok zaczyna krążyć w gałęziach, by przyspieszyć rozwój pączków. W nocy chłód zwalnia krą- żenie soku, który wypływa już tylko kropła po kropli. Od tej właśnie różni- cy temperatury między dniem i nocą zależy w znacznej mierze jakość i ilość soku.

Sezon cukru trwa od dwu do czte- rech tygodni, zależnie od temperatu- ry; jeżeli jest ona wyjątkowo łagod- na, soki wznoszą się zbyt prędko i wy- dajność ich jest niewielka. Najlepszego syropu dostarcza sok zebrany w pierwszych dniach sezonu. Ma on ko- lor lekko bursztynowy. W miarę po- stępu sezonu syrop staje się ciemniej- szy i nabiera ostrzejszego smaku.

Dzień upływa w ustawicznym cho- dzeniu od wiader do „chatki cukro- wej“. Wiadra zawierają po pół gal- lonu (2,25 l), a klon dostarcza dzien- nie około 1 gallonu (4,5 l) „wody kło- nowej“, tj. soku. Jeden klon może dać do 20 gallonów w sezonie. Zazwyczaj opróżnia się „kociołki“ dwa razy dziennie do kadzi, które przewozi się saniami lub traktorem do „chatki cu- krowej“. Jest to mały hangar, który widzi się przy każdej farmie kana- dyjskiej w prowincji Quebec: mieści się tu piec, do którego wkłada się gałęzie długości 4 stóp (1 m 20 cm) i który ogrzewa stale wielki kocioł, gdzie pa- ruje syrop.

Dawniej był to kocioł z lanego żela- za dziś farmerzy kupują nowoczesne kotły ze żłobkowanym dnem. Wyparo- wywanie musi przebiegać możliwie jak najprędzej, w ciągu 24 godzin; sy- rop gęstnieje i gdy uzyska się wyma- ganą gęstość, wlewa się go do drewnianych kadzi. Sok zmniejsza znacz- nie swoją objętość. Z 40 gallonów „wody klonowej“ otrzymuje się 1 gal- lon syropu: liczy się, że jeden dobrze rozwinięty klon dostarcza od 1,2 do 1,6

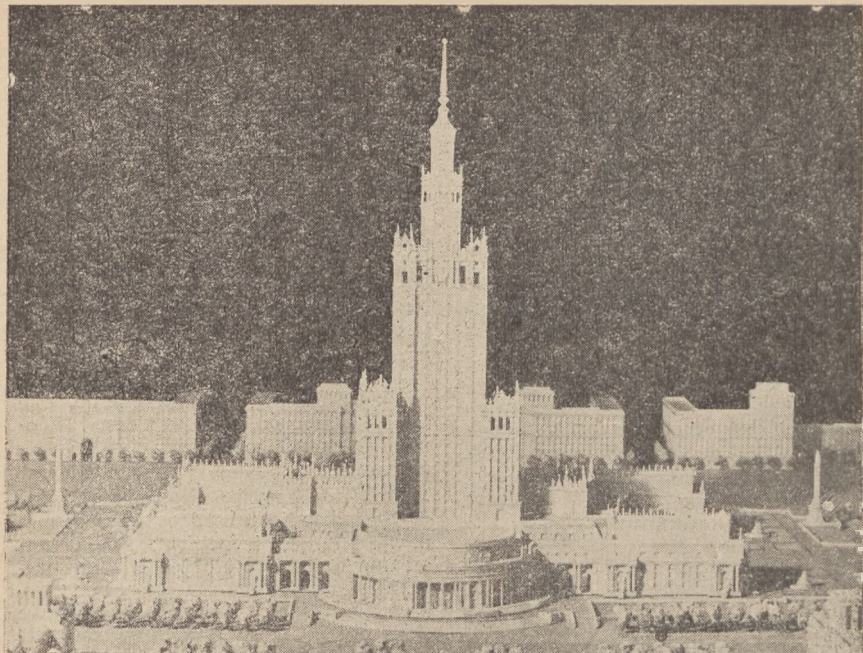
pint soku (około tyleż litrów) i od 3 do 4 funtów cukru klonowego. Dla o- trzymania cukru wlewa się syrop do drewnianych form, gdzie twardniejąc zamienia się w cukier.

CZAS ZABAW

Przysłowie kanadyjskie mówi: „czas cukru — czas zabaw“. Przy końcu zbioru „wody klonowej“, gdy kończy się praca w „chatce cukrowej“, odby- wają się wielkie „przyjęcia cukrowe“ — tradycyjne bankiety, które dla daw- niejszych pionierów jak i dla dzisiej- szych chłopów stanowią okazję do wielkich zabaw. Przypominają one święta winobrania, które pierwsi kolo- niści francuscy obchodzili przed wye- migrowaniem.

Najpierw wszyscy piją piwo, które w Kanadzie jest bardzo mocne i po- dawane przed jedzeniem. Potem na- stępują omlety ze słoniną i fasołą, jaj- ka z cukrem, jajka w gorącym cu- krze klonowym, lub placki cukrowe czyli „tire“, które otrzymuje się wle- wając gorący syrop na śnieg ubity w formach. Kanadyjczycy piją podczas jedzenia mleko, kawę lub herbatę, ale po wielu słodkich potrawach z cukru i syropu klonowego, piją wino z wiśni albo też białych lub czerwonych owo- ców podobnych do wiśni.

Około 50 tysięcy rolników zbiera sok klonowy i jeżeli przyjmie się, że prze- ciętna cena gallonu syropu wynosi od 3 do 4 dolarów, ogólna produkcja la- sów klonowych może być oceniona na 6 milionów dolarów. W Quebec i Mon- treau produkcja cukru została uprze- mysłowiona; fabryki przerabiają, paku- ją do beczek i wysyłają na rynki świa- towe cukier i syrop. Co roku czujemy w Montrealu leśny zapach świeżego cukru, ale nie ma dla mnie większej przyjemności jak znalezienie się w tym czasie na farmie, by widzieć i ko- sztować pierwszy syrop z kotła, a po- tem wracać pod koniec kwietnia, gdy przez rozmiękłe od odwilży drogi chłopci idą do miasta, by dostarczyć tam swój roczny zbiór cukru.



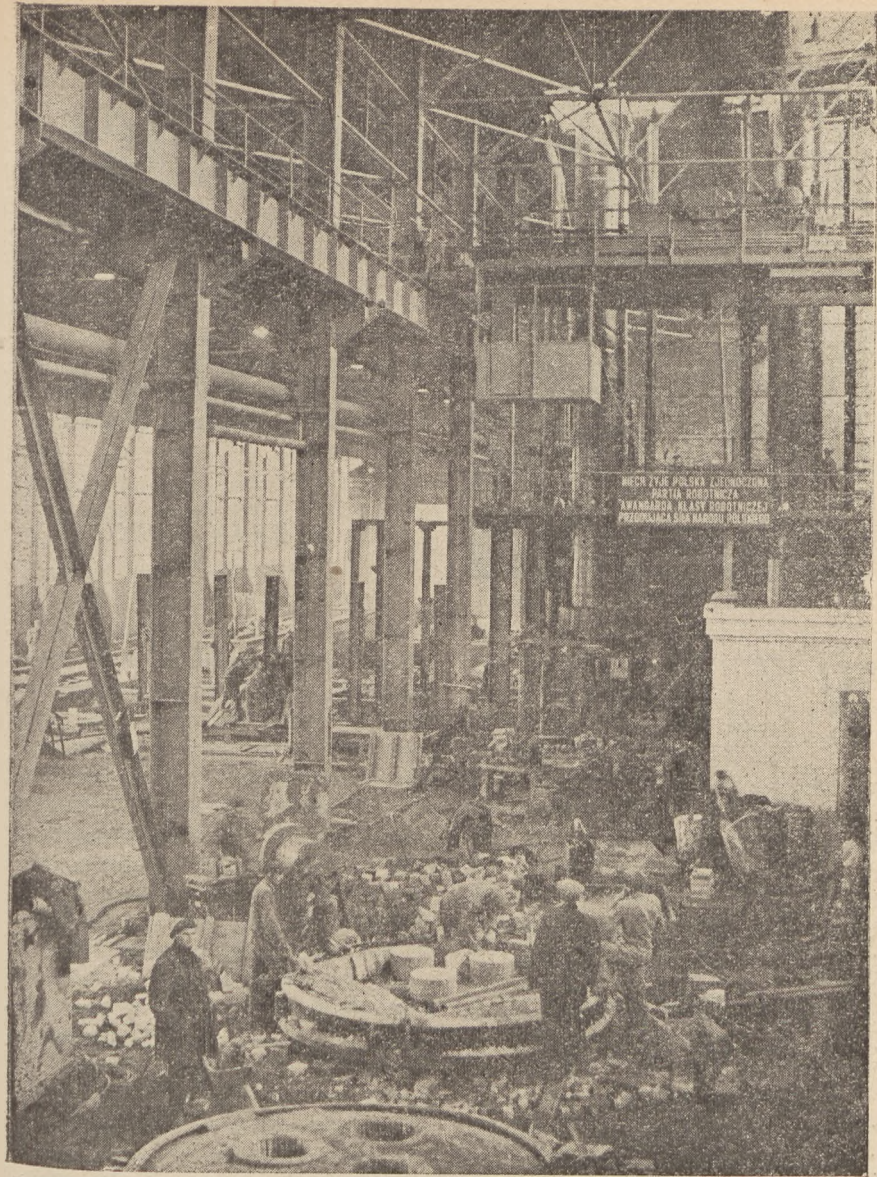
PO OŚMIU LATACH

21.IV.1945 r. — 21.IV.1953 r.

MIJA osiem lat od chwili podpisania Układu o Przyjaźni, Pomocy Wzajemnej i Współpracy Powojennej między Polską a Związkiem Radzieckim, układu, który — jak oświadczył Wielki Przyjaciel narodu polskiego Józef Stalin — „stanowi rękojmię niepodległości nowej, demokratycznej Polski, rękojmię jej potęgi, jej rozkwitu“.

Układ ten scementował na wieki niewzruszoną przyjaźń i braterstwo narodu polskiego z narodami ZSRR, zapewnił nam szczodłą, bezinteresowną pomoc wielkiego Kraju Rad. Dzięki tej przyjaźni i tej pomocy naród polski może w pokoju i bezpieczeństwie budować szczęśliwe jutro. Dzięki tej przyjaźni i tej pomocy rośnie Nowa Huta pod Krakowem i Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina w Warszawie, rozkwita i potężnieje nasza Ojczyzna.

Z każdym dniem nabierając pełniejszej treści i głębszej wymowy słowa Bolesława Bieruła: „Przyjaźń z ZSRR, pomoc ZSRR, przykład ZSRR — oto jest podstawowe źródło naszych zwycięstw“.



Nowa Huta. Fragmenty odlewni staliwa, w której przed paroma miesiącami uruchomiono piec elektryczny.

DOKUMENTY

WROGIEJ DZIAŁALNOŚCI
RZĄDU STANÓW ZJEDNOCZONYCH
WOBEC POLSKI LUDOWEJ

MIAŻDŻĄCY AKT OSKARŻENIA

STEFAN ARSKI

W SZYSTKIE niemal zawarte w tej księdze fakty są dobrze znane. Każdy z nich z osobna był już nieraz omawiany. Ale zebrane, usystematyzowane i ogłoszone w jednym zbiorze „Dokumentów wrogiej działalności rządu Stanów Zjednoczonych wobec Polski Ludowej” nabierają wręcz wstrząsającej wymowy. Układają się w miażdżący akt oskarżenia polityki amerykańskiej. Ukazują cały bezmiar wrogości, nienawiści i perfidii, z jaką rząd Stanów Zjednoczonych odnosi się do Polski Ludowej od chwili jej powstania.

Gdy się wertuje te noty, mowy, dokumenty i oświadczenia, widać w pełni, jak śmiertelnym wrogiem naszego bezpieczeństwa i naszej niepodległości, naszych swobód i naszych interesów narodowych jest rząd Stanów Zjednoczonych i stojące za nim siły wielkiego

kapitału amerykańskiego. I nie tylko wrogiem naszym. Bo polityka prowadzona przez te siły zwraca się z równą zaciekłością przeciwko wszystkim krajom obozu pokoju. I zwraca się również przeciwko interesom narodowym tych krajów, których sprzedajne rządy stały się amerykańskimi satelitami. Dlatego ogłoszenie przez polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych tego zbioru dokumentów służy wspólnej sprawie wszystkich narodów. Sprawie pokoju i wolności. Bo choć zebrane tu materiały odnoszą się w zasadzie do stosunków polsko-amerykańskich — wymowa ich jest o wiele szersza. Są one zwierciadłem nikczemności polityki imperializmu amerykańskiego.

Nie jest rzeczą przypadku, że pierwszym dokumentem tego zbioru jest mowa sztułgardzka amerykańskiego sekretarza Stanu, Byrnesa, który w dniu

6 września 1946 roku zakwestionował oficjalnie granice Polski na Odrze i Nysie. Mowa ta stanowiła bowiem pierwszą jawną manifestację sojuszu amerykańskiego imperializmu z zachodnio-niemieckim neohitleryzmem. Sojuszu, godzącego w pokój światowy i stanowiącego zarzewie nowej wojny, przygotowywanej przez Stany Zjednoczone. Sojusz, którego ostrze wynierzone jest przeciwko Polsce Ludowej. Bo pierwszym zawołaniem amerykańsko-hitlerowskiego spisku stała się rewizja naszych granic zachodnich.

Dokumenty, zawarte w „Czarnej Księdze“, uwypuklają ten fakt, a zarazem podkreślają wiarołomność rządu amerykańskiego, który niespełna trzynaście miesięcy przed wystąpieniem Byrnesa podpisał Układ Poczdamski, przyznający Polsce ziemie nad Odrą i Nysą.

Rząd amerykański nie liczy się jednak z żadnymi zobowiązaniami, umowami, traktatami, nakazami prawa międzynarodowego. Dążąc do rozpętania nowej wojny, przygotowując jawnie agresję przeciwko krajom obozu pokoju, narzucając brutalnie swą wolę krajom przez się ujarzmionym, rząd waszyngtoński dawno już wyzbył się resztek pozorów przyzwoitości. Polityka amerykańska, która od dawna posługuje się metodami „grubej pałki“ i „dyplomacji dolarowej“ zwyrodniała dziś tak dalece, że zasługuje na miano dyplomacji gangsterskiej.

Dziesiątki przykładów tego właśnie gangsterstwa w polityce międzynarodowej zawiera „Czarna Księga“.

Oto więc rząd Stanów Zjednoczonych, zobowiązany do wydania Polsce hitlerowskich zbrodniarzy wojennych, ukrywa ich i osłania przed wymiarem sprawiedliwości. Wykrętnie odpowiada

na noty polskie w tej sprawie i zaslania się ym, że von dem Bach i Reinefarth, Guderian i List, Rode i Luetwitz nie mogą być wydani Polsce gdyż — jak głosi pismo amerykańskiego gubernatora wojskowego w Niemczech zachodnich — „są oni potrzebni naszym ludziom“. Nie trudno się domyślić po co. Organizatorzy nowego „Wehrmachtu“ bardzo potrzebują specjalistów od „Massenmordu“ ze szkoły Adolfa Hitlera.

Ci, którzy ukrywają zbrodniarzy, stają się współnikami zbrodni. Ci, którzy przechowują zrabowane łupy, nazywają się paserami. Władze amerykańskie w Niemczech zachodnich trudnią się paserstwem. Z ogłoszonych w „Czarnej Księdze“ dokumentów wynika, że władze amerykańskie uczyniły wszystko, by uniemożliwić Polsce odzyskanie majątku, wywiezionego przez hitlerowców. Wartość tego majątku sięga wielu miliardów złotych. Władze amerykańskie tak umiejętnie sabotowały działalność polskich misji rewindykacyjnych, że zdołaliśmy odzyskać tylko drobny ułamek złupionego dobytku. Paserom nie obca jest i kradzież. Spory rozgłos uzyskała w swoim czasie sprawa, w której władze amerykańskie wystąpiły w roli... koniokradów. Przywłaszczyły sobie i wywiozły do Stanów Zjednoczonych stadniny koni rasowych, zrabowane niegdyś przez hitlerowców w Polsce.

Paserzy i koniokradzy są tu również porywaczami dzieci — kidnaperami, jak się to nazywa w języku amerykańskich gangsterów. Tysiące dzieci polskich, wywiezionych podczas wojny przez hitlerowców do Rzeszy, daremnie oczekują chwili, gdy dane im będzie wrócić do matek, ojców, rodzin i ojczyzny. Władze amerykańskie z nieludzką bru-

talnościami uniemożliwiają repatriację tych dzieci. Próżno rząd polski interweniował i protestował, odwołując się zarówno do obowiązujących umów międzynarodowych, jak do zwykłego poczucia ludzkości. Humanitaryzm jest obcy imperialistom.

Dlatego w arsenale ich środków politycznych mogła się znaleźć broń tak nikczemna jak — głód. Nieraz już dyplomacja amerykańska usiłowała zlać narody szantażem wstrzymania dostaw zboża i żywności. Spróbowała tej broni i w stosunku do Polski Ludowej. W roku 1947 w okresie nieurodzaju, rząd polski chciał nabyć w Ameryce za gotówkę pewną ilość zboża. Spotkał się z kategoryczną odmową. Był to odwet za to, że Polska nie wzięła udziału w „planie Marshalla“. Ale tym razem rząd amerykański zawiódł się srodze. Polska Ludowa nie jest bowiem osamotniona, ani zdana na łaskę i niełaskę amerykańskiego imperializmu. Polska ma silne oparcie w przyjaźni i sojuszu ze Związkiem Radzieckim. Pomoc radziecka nie zawodzi nigdy. Dzięki niej Polska Ludowa może zawsze skutecznie opierać się wszelkim próbom imperialistycznego szantażu.

I dlatego zawiódły rachuby amerykańskie na sparaliżowanie naszej gospodarki drogą dyskryminacji ekonomicznej. Łamiąc obowiązujące traktaty i zrywając umowy — rząd amerykański uniemożliwiał Polsce nabycie szeregu towarów w Ameryce i krajach satelickich. Zakaz eksportu do Polski dotyczył nawet leków i aparatury szpitalnej. Nikczemnicy pozostają nikczemnikami.

Czy należy się więc dziwić, że rząd, który spiskuje z hitlerowcami, stosuje szantaż głodowy, porywa dzieci, chroni zbrodniarzy wojennych, odnawia

potrzebującym lekarstw, że taki rząd posługuje się również mordercami, dywersantami, zdrajcami i opryszkami? Ze uprawia sabotaż, szpiegostwo, dywersję i mord w stosunku do krajów, z którymi formalnie utrzymuje stosunki dyplomatyczne?

Od chwili, gdy naród polski przepędził obszarników i kapitalistów, rząd Stanów Zjednoczonych imał się każdego sposobu, by podważyć władzę ludu w Polsce. Ambasada amerykańska stała się ośrodkiem intryg przeciwko władzy ludowej. Konszachty z Mikołajczykiem, Popielem, kardynałem Sapiehą, kontakty z bandyckim podziemiem, ułatwianie ucieczki obcym agentom, zdrajcom, mordercom i bandytom, finansowanie „brudnej“ i „mokrej roboty“, uprawianie szpiegostwa — wszystko to wiązało się z akcją, zmierzającą do przywrócenia w Polsce panowania obszarników i kapitalistów, do obrócenia nas w kolonię amerykańskiego kapitału. Ambasadorzy Bliss Lane i Stanton Griffis z całym cynizmem opisywali potem w pamiętnikach swoje własne i swych podwładnych wyczyny na tym polu.

Z czasem metody te uległy „udoskonaleniu“. Wyasygnowano na te cele stu milionowy fundusz, zorganizowano szkoły, w których trenuje się dywersantów, szpiegów i morderców, uczy ich wysadzania mostów, sabotowania produkcji, podpalania budynków, niszczenia zbiorów. Przygotowuje się siatki szpiegowskie i spośród najgorszych szumowin rekrutuje najemników do tej roboty.

Zeznania kierowników krajowej komendy WiN i fragmenty z dyskusji w Kongresie amerykańskim, zeznania

szpiegów, dywersantów i bandytów przed polskimi sądami i pamiętniki amerykańskich dyplomatów, fotokopie instrukcji szpiegowskich i fotografie sprzętu, w który zaopatrzeni byli spadochroniarze - dywersanci — wszystko to z jednaką siłą oskarża kierowników polityki amerykańskiej. Wszystko to — wbrew nieudolnym kłamstwom i wykrętom dyplomatów waszyngtońskich — stanowi niezbity dowód, że „czarna propaganda“ i „brudna robota“ należą do regularnych środków amerykańskiej polityki. A nie kto inny, tylko sekretarz Stanu USA, John Foster Dulles, zapowiedział, nazajutrz po objęciu swego urzędu, że nastąpi wzmożenie wszelkich form prowadzenia zimnej wojny.

Polityka amerykańska godzi w najbardziej żywotne interesy narodu pol-

skiego, godzi w nasze granice, bezpieczeństwo i niepodległość. Polityka amerykańska godzi w nasze plany gospodarcze, w dobrobyt i postęp narodu polskiego. Polityka amerykańska jest polityką śmiertelnego wroga narodu polskiego, który stosuje wobec nas najnikczemniejsze sposoby i środki.

Dokumenty tej polityki, zawarte w „Czarnej Księdze“, winny stać się narzędziem budzenia wzmożonej czujności w najszerszych masach społeczeństwa. Powinny one uprzytomnić każdemu, że nie ma takiej nikczemności, przed którą cofnąłby się ten wróg. Musimy być czujni, by skutecznie paraliżować i unicestwiać jego wysiłki. Jest to święty obowiązek każdego patrioty wobec własnej ojczyzny, obowiązek każdego bojownika o pokój światowy.





PIERWSZA WŚRÓD RÓWNYCH

KRZYSZTOF ZAREWICZ

JUŻ trzydzieści lat buduje się, potężnieje Związek Radziecki. Rozbudowują się, rozwijają się jego równoprawne części składowe — republiki radzieckie. Wspaniały ten rozkwit — zapewniła im leninowsko-stalinowska polityka narodowościowa Partii Komunistycznej. Każda z republik ma dziś swój własny, nowoczesny, potężny przemysł, każda posiada zmechanizowane, wysokowydajne rolnictwo, wszystkie stały się republikami o powszechnej oświacie i wysoko rozwiniętej kulturze.

Olbrzymią potęgą stał się Związek wolnych, socjalistycznych republik radzieckich.*)

PRZED trzydziestu laty zespoliły się na wieki radzieckie republiki, wokół tej siły, o której mówią pierwsze słowa państwowego hymnu Związku Radzieckiego:

*„Niezlomny jest Związek republik
swobodnych,
Ruś wielka na setki złączyła je lat...”*

Siłą tą była Wielka Ruś — Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka. Pierwsza Republika wśród równych bratnich socjalistycznych republik.

Dzisiejsza RFSRR była kolebką Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październi-

kowej. Proletariat Moskwy i Leningradu zapisał chlubne karty w historii decydujących walk o obalenie caratu, o zdobycie władzy przez lud pracujący.

Obecnie RFSRR promieniuje kulturą i nauką na cały Kraj Rad, jako wzór i przyjaciel bratnich republik radzieckich, przewodzi wszystkim narodom ZSRR na drodze do świetlanego jutra komunizmu.

*

Dwa takie państwa jak Stany Zjednoczone, trzydzieści Francji lub siedemdziesiąt Anglii można byłoby pomieścić na terytorium Rosyjskiej Republiki. Rozpościera się ona na olbrzymich obszarach od Północnego Oceanu Lodowatego do Morza Czarnego i Kaspijskiego, do gór Ałtaju i rzeki Amur.

*) W kolejnych numerach naszego pisma będziemy zamieszczali artykuły omawiające rozwój poszczególnych Republik Radzieckich.

Na zachodzie ziemie Republiki dochodzą do Morza Bałtyckiego, a na wschodzie — do rozdzielającej Azję i Amerykę Cieśniny Beringa. Pociąg pośpieszny, by przebyć tę przestrzeń, mknie bez ustanku dzień i noc przez półtora tygodnia. Mieszkańcy Rosyjskiej Republiki witają Nowy Rok jedenaście razy, tyle bowiem stref zmiany czasu przecina Republikę. Gdy na dalekiej Czukotce jest północ, zegar na wieży Kremlowskiej dopiero wybija godzinę drugą po południu...

Zadne państwo na świecie nie posia-

da tak różnorodnej przyrody, jak Rosja. Wzdłuż wybrzeży Oceanu Lodowatego rozciąga się pas tundry, na południu od niego leży szeroki pas lasów o niezwykle bogatych zasobach rzadkich gatunków drzew. Za pasem tajgi rozciągają się stepy o urodzajnej, czarnoziemnej glebie. Na obszarach Republiki znajduje się strefa roślinności podzwrotnikowej na Altaju i Kaukazie.

Nie tylko jednak pod względem zajmowanego obszaru stoi Rosyjska Republika Federacyjna na pierwszym miejscu wśród innych republik. Jest ona

Ulica Gorkiego w Moskwie



Republiką posiadającą najwięcej ludności: na jej terytorium mieszka ponad sto milionów ludzi, przeszło połowa mieszkańców całego Związku Radzieckiego. Jednocześnie Republika Rosyjska zamieszkana jest przez największą w ZSRR ilość narodów. Cztery piąte ludności Republiki stanowią Rosjanie. Na resztę składają się dziesiątki narodowości: Tatarzy, Baszkirzy, Czuwasze, Maryjczycy, Jakuci, Osetyńcy, Ewenkowie, Buriaci, Mongołowie, Łuwińczycy, Czucze, Neńcy i wiele, wiele innych. Większe narody utworzyły własne republiki autonomiczne, mniejsze — autonomiczne okręgi narodowościowe.

Również pod względem gospodarczym Rosyjska Federacja wysunęła się na pierwsze miejsce. W głębi jej ziemi ukryte są wszystkie pierwiastki tablicy Mendelejewa. Na Syberii, w Zagłębiu Kuźnieckim i Tunguskim, w Zagłębiu Podmoskiewskim, Peczerskim i wielu innych miejscach znajdują się olbrzymie zasoby węgla kamiennego i brunatnego. Na północnym Kaukazie, na Uralu, na wyspie Sachalin i w rejonie tzw. „Drugiego Baku“, położonego między Wołgą i Urałem, wydobywa się ropę naftową. Pod Kurskiem i Karczem, na Uralu, Syberii i na Dalekim Wschodzie skoncentrowane są olbrzymie złoża rud żelaznych. Z głębi rosyjskiej ziemi wydobywa się złoto i platynę, miedź i tef, boksyty, ołów, wolfram, molibden i cynk, łupki bitumiczne i kamienie szlachetne, materiały budowlane i najprzeróżniejsze surowce dla przemysłu chemicznego. Tu na półwyspie Kola znajdują się największe na świecie złoża apatytów, tu w pobliżu Solikamska na Północnym Uralu odkryto złoża soli potasowej przewyższające wszystkie zasoby świata.

W oparciu o bogactwa naturalne i największą liczbę ludności potężnie rozwinęły się wszystkie gałęzie przemysłu. Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka dała całemu krajowi samochody i stal, potężne, skomplikowane maszyny i materiały włókiennicze, precyzyjne aparaty i artykuły spożywcze — daje prawie trzy czwarte produkcji całego przemysłu Związku Radzieckiego. Najlepsza na świecie twarda pszenica, jedwabisty len, słoneczniki, bydło rasy chołmogorskiej, jarosławskiej, kostromskiej, romanowskie owce, orłowskie kłusaki — słusznie szczyci się tym rolnictwo Republiki. Olbrzymie zasoby drewna, rozwinięte na szeroką skalę myślistwo zwierząt futerkowych — to bogactwa tajgi. W morzach i jeziorach — obfitość ryb. Wielkie rzeki Republiki Rosyjskiej to wspaniałe drogi komunikacyjne, a jednocześnie niezwykle bogate źródła energii elektrycznej.

Ploną już ognie dziesiątek dużych elektrowni wodnych, płynie prąd z tysięcy elektrowni kołchozowych. Już za kilka lat zawirują na Wołdze turbiny największych na świecie elektrowni wodnych — Kujbyszewskiej i Stalingradzkiej. Popłynie prąd z elektrowni na Kamie, z elektrowni na rzekach dalekiej Syberii.

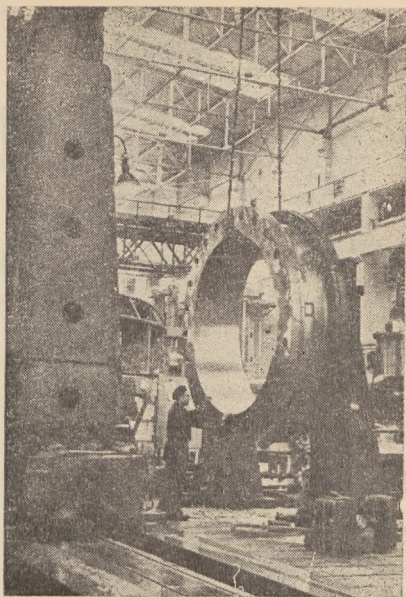
Na obszarze Republiki Rosyjskiej rozwinęła się w olbrzymie miasto — centrum życia politycznego, gospodarczego i kulturalnego kraju stolica Związku Radzieckiego i równocześnie stolica Rosyjskiej Federacji — Moskwa. Na północno-zachodnim krańcu Republiki leży kolebka Rewolucji Październikowej, bohaterskie miasto wspaniałych ludzi — Leningrad. Tu zbudowano on-

giś pierwszy radziecki traktor - turbo-generator, pierwszą walcownię - zgniatacz. I Leningrad pozostał również dziś wielkim ośrodkiem przemysłowym, centrum postępu technicznego.

Do Rosyjskiej Republiki należy przemysłowe Powołże, bajecznie bogaty Ural, gdzie wydobywa się około ośmiuset różnych minerałów, do Republiki należy bezkresna Syberia o rozwiniętym szeroko przemyśle i rolnictwie, Daleki Wschód, Sachalin, Kamczatka. Miasto - bohater Stalingrad, miasto młodości Komsomolsk nad Amurem, gigantyczne huty i kopalnie Zagłębia Kuźnieckiego, piękny Krym, wielkie kanały nawadniające, ochronne pasy leśne przegradzające drogę posusze — to wszystko, to Republika Rosyjska.

Coraz dalej i coraz wyżej kroczy na drodze rozkwitu, na drodze dobrobytu Rosyjska Republika Federacyjna. Droga tą idą ziemie zamieszkałe przez Rosjan i dawne zacofane kolonie carskiej Rosji — dzisiejsza przemysłowa Udmurtia, górnicza Komi, lesista Adyges, hutnicza Północna Osetia, bogate w ropę naftową, Baszkiria i Tataria. Dziś Buriat — Mongolia stała się wielkim ośrodkiem przemysłu metalowego i maszynowego. Dziś Czuwaska Republika Autonomiczna, której prawie wszyscy mieszkańcy byli przed Rewolucją analfabetami, wydaje co dzień na oświatę przeszło pół miliona rubli.

Ale czy Rosyjską Federacyjną Republikę nazywają powszechnie pierwszą wśród równych tylko dlatego, że jest ona największą z radzieckich republik pod względem obszaru, liczby ludności i potęgi gospodarczej? Nie, nazywają ją tym mianem nie tylko z tych powodów. Rosyjska Federacyjna Socjali-



Zakłady Metalurgiczne im. Józefa Stalina w Leningradzie

styczna Republika Radziecka jest pierwszą wśród równych przede wszystkim dlatego, że naród rosyjski zrodził najbardziej rewolucyjny na świecie proletariatus, który stał się główną siłą zwycięstwa Października. Republika Rosyjska jest pierwszą wśród równych, ponieważ stała się ona jądrem, wokół którego powstał wielki Związek Radziecki, jest pierwszą wśród równych, ponieważ naród rosyjski stał się głównym, czołowym oddziałem budowniczych socjalizmu, stał się najlepszym przyjacielem i nauczycielem dziesiątków narodów, stał się główną siłą, która zadecydowała o zwycięstwie Związku Radzieckiego w ostatniej wojnie, a dziś jest wielką, silną armią czołowych budowniczych komunizmu.

ADENAUER ZA DRUTEM KOLCZASTYM

WŁADYSŁAW SZCZERBIC

Terror szaleje w Niemczech zachodnich. Agenci Adenauera w aulach policyjnych polują na bojowników o pokój. W akcji tej biorą również udział organizacje faszystowskie. Przeprowadzono liczne uresztowania. Do Bonni ściągnięto z całej Trizonii liczne oddziały policji. Ludności zakazano grupowania się na ulicach. Na skrzyżowaniach ulic ustawiono zasieki z drutu kolczastego. Na drodze do gmachu parlamentu (Bundestagu) również ustawiono zasieki z drutu kolczastego.

Tak opisywały agencje prasowe sytuację w Bonn w dniach dyskusji i głosowania nad „układem ogólnym” i układem o „armii europejskiej”. W takiej to sytuacji Bundestag ratyfikował na wniosek Adenauera oba układy w

dniu 19 marca br. 37 dni wcześniej, w dniu 10 lutego br. nastąpiło otwarcie tzw. „wspólnego rynku węgla i stali” 6 krajów Europy zachodniej: Francji Niemiec zachodnich, Włoch, Belgii, Holandii i Luksemburga (tzw. „plan Schumana”).

OS WASZYNGTON — BONN

W POSTACI kartelu węgla i stali został stworzony ośrodek produkcji zbrojeniowej dla agresywnego paktu atlantyckiego. W kartelu tym główną rolę odgrywają byli hitlerowscy „Wirtschaftsführerzy”, zachodni Niemieccy monopolisci, ściśle związani z Wall Street. „Realizacja planu Schumana uczyni Niemcy zachodnie, dzięki ich korzystnej sytuacji gospodarczej, panem i władcą całej Europy zachodniej” — pisał francuski przemysłowiec Rene Fould.

Obecnie, po ratyfikacji „układu ogólnego” i układu o „armii europejskiej”



oprowadzana przez USA Trizonia staje się głównym instrumentem Waszyngtonu w tzw. „europejskiej współpracy obronnej”. Byli hitlerowscy generałowie będą obecnie pełnić rolę najbliższych doradców Ridgway'a, odbudowywany hitlerowski Wehrmacht ma być amerykańskim żandarmem na zachodnio-europejskim przyczółku Waszyngtonu.

NIEMCY ZACHODNIE W JARZMIE USA

RATYFIKACJA obu układów wojennych przez parlament w Bonn stanowi dalszy krok zdradzieckiej klikii Adenauera w zaprzędawaniu kraju amerykańskim reżyserom paktu atlantyckiego. „Układ ogólny” przewiduje bowiem przedłużenie okupacji wojskowej Trizonii przez mocarstwa zachodnie na okres dalszych 50 lat.

Co więcej, układ przewiduje, że „*trzy mocarstwa zachodnie mogą ogłosić stan wyjątkowy na całym obszarze Republiki Związkowej, lub w części kraju i przedsięwziąć różne środki, włączając użycie siły zbrojnej*”. Tak zwane „układy dodatkowe” przewidują, że wojska okupacyjne mają do swej całkowitej dyspozycji wszystkie zachodnio - niemieckie lotniska, koszary i tereny dla baz oraz dla odbywania manewrów. „Układ dodatkowy” w sprawie finansowania remilitaryzacji Trizonii przewiduje ściąganie z mas pracujących olbrzymiej sumy 11,25 miliarda marek rocznie na ten cel.

Uzależniając jeszcze bardziej Niemcy zachodnie od Waszyngtonu, „układ ogólny” rozwiązuje zarazem ręce najzgorzalszym faszystom i żadnym odwetu niedobitkom hitleryzmu. Układ ten sankcjonuje oficjalnie wszechście

produkcji zbrojeniowej na dużą skalę. Równocześnie przewiduje on przyspieszenie odbudowy Wehrmachtu. Ratyfikowany wraz z „układem ogólnym” układ o „armii europejskiej” przewiduje wcielenie oddziałów zachodnio - niemieckich najemników dolara do „armii europejskiej”, w której będą oni stanowić główny instrument amerykańskiej polityki agresji.

ARMIA ANTY-EUROPEJSKA

POPRZEZ „armię europejską” remilitaryzowana i refaszyzowana Trizonia wchodzi tylnymi schodami do paktu atlantyckiego. Miała rację zachodnio-niemiecka agencja prasowa DPA, pisząc: „*W rezultacie tego układu republika federalna stała się członkiem paktu atlantyckiego*”.

Wiadomo pod jakimi hasłami wchodzi zachodnio - niemieccy odwetowcy do tego paktu agresji. Obiecują sobie nowy pochód na Wschód pod amerykańskim sztandarem — w imię podboju naszych Ziem Zachodnich, bo taka jest cena amerykańsko - hitlerowskiego spisku przeciw pokojowi, w imię agresji przeciw Związkowi Radzieckiemu i wszystkim krajom demokracji ludowej. „*W interesie USA* — pisał amerykański kongresman Armstrong na łamach trizoińskiego pisma „Geopolitik” — *leży przede wszystkim zdobycie Niemców jako partnera w walce na śmierć i życie przeciw Wschodowi... Kwestia granic wschodnich państwa niemieckiego powinna pozostać otwartą*”.

Nie tylko zresztą na Wschód lypią trizońscy odwetowcy pożądliwym okiem. „*Skoro będziemy mieli choć piętnaście dywizji, to pogadamy z Francu-*

zami innym tonem" — grozi były hitlewski generał Friessner.

Takie oto cele stawiają sobie partnerzy tego zbójeckiego spisku przeciw pokojowi. Celem przyspieszenia ich realizacji jeździł ostatnio po Europie zachodniej „z grubym kijem” znany podżegacz wojenny, sekretarz Stanu USA, John Foster Dulles. Prasa amerykańska pisała wówczas, że najlepsze przyjęcie zgotowano Dullesowi w Bonn. Prześorsowanie przez Adenauera ratyfikacji układów wojennych dowodzi, że ten zdrajca narodu niemieckiego gorliwie usiłuje spełnić dane Dullesowi obietnice.

WALKA O NIEMCY ZJEDNOCZONE, DEMOKRATYCZNE, POKOJOWE

KLIKA Adenauera ratyfikowała układy wojenne. Nie ratyfikował ich jednak naród niemiecki. Adenauer musiał się kryć za zasiekami z drutu kolczastego w dniu ratyfikacji, jego minister spraw wewnętrznych, faszysta Lehr zmobilizował potężne siły policyjne do rozpędzania manifestacji pokojowych w Bonn.

Ale będzie o wiele trudniej wywiązać się z zobowiązań wynikających z tych układów, zmusić naród niemiecki do posłuszeństwa.

Świadczy o tym rosnąca fala strajków w Trizonii, świadczy o tym obejmujący coraz szersze kręgi ruch walki o pokój, o zjednoczenie Niemiec na podstawach demokratycznych. Naród niemiecki nigdy nie poprze polityki wojny, która oznaczałaby dla niego nieuchronną katastrofę.

„Należy się spodziewać — mówił G. M. Malenkov na XIX Zjeździe KPZR — że naród niemiecki, przed którym stoi

dylemat: albo pójść tą drogą, albo stać się landsknechtem imperialistów amerykańskich i angielskich, wybierze słuszną drogę — drogę pokoju”.

Naród niemiecki wybrał drogę pokoju. „Rada „Deutsche Sammlung“ w Bonn (masowa organizacja walki patriotów niemieckich o zjednoczenie Niemiec i o pokój — WS) — oświadczył przewodniczący Ogólnoniemieckiego Frontu Narodowego prof. Correns — skupiająca wszystkie warstwy i klasy narodu niemieckiego i reprezentująca interesy ponad 15 milionów Niemców, tj. więcej niż 50 proc. wyborców Niemiec zachodnich (którzy ostatnio wypowiedzieli się w referendum o traktacie pokojowym i przeciwko ogólnemu układowi wojennemu) stoi na stanowisku, że polityka Adenauera... stawia naród niemiecki w obliczu ciężkiej odpowiedzialności. „Deutsche Sammlung“ oświadcza, że naród niemiecki nigdy nie uzna traktatów z Bonn i Paryża i nigdy nie będzie się czuł związany tymi traktatami”.

Taka jest wola narodu niemieckiego. Walka o obalenie reżimu Adenauera, reżimu faszyzmu i wojny, walka o zjednoczenie Niemiec na podstawach demokratycznych — oto zasadnicze cele wszystkich patriotów niemieckich.

W walce tej naród niemiecki nie jest osamotniony. Cieszy się on poparciem wszystkich bojowników o pokój na całym świecie. Cieszy się gorącą solidarnością narodu polskiego, który w pełni zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństw dla całości naszych granic i dla naszego pokojowego budownictwa, niebezpieczeństw, jakie kryje w sobie zbrodniczy sojusz odwetowców z Bonn i amerykańskich monopolistów.

Tradycje przyjaźni POLSKO-NIEMIECKIEJ

V*)

NA GRUNCIE rozwoju przemysłu i wzrostu proletariatu rodzi się i rozwija nauka Marksa i Engelsa. W oparciu o istniejące warunki gospodarczo-społeczne powstają na terenie Niemiec w II połowie wieku XIX polityczne organizacje robotnicze. W r. 1875 powstaje partia socjaldemokratyczna.

Partia ta od pierwszej chwili swego powstania stała się przedmiotem zawziętych ataków ze strony kapitalistów i rządu niemieckiego, kierowanego przez Bismarcka.

Na polecenie Bismarcka rząd w r. 1878 uchwalił ustawę antysocjalistyczną, która obowiązywała do roku 1890. Jednak z okresu istnienia i stosowania ustawy antysocjalistycznej ruch robotniczy wyszedł mocniejszym niż kiedykolwiek. Poważne natomiast straty nie-

mieckiemu ruchowi robotniczemu zadał wróg wewnątrz jego szeregów.

Oto wśród niemieckich socjaldemokratów, zwłaszcza wśród jego przywódców, coraz większy wpływ zaczynają wywierać ludzie, którzy oddalają się od jasnych wskazań i wyraźnych linii, zakreślonych przez Marksa. Niektórzy socjaldemokraci załamują się pod terrorem kapitalistów i ich rządu. Inni dali się zwieść fałszywymi obietnicami rządu i kapitalistów, pozwolili się oszukać drobnymi ustępstwami w zakresie ustawodawstwa socjalnego, albo też po prostu zostali przekupieni przez kapitalistów. Z nich wyrosli Scheidemann, Ebert i Noske, którzy w wieku XIX sprawdzają socjaldemokrację na drodze zdrady, przekształcając partię socjaldemokratyczną w agenturę burżuazji w ruchu robotniczym Niemiec. Ten agenturowy charakter socjaldemokracji niemieckiej jaskrawo wystąpił na jaw w

*) Część I, II, III, IV — patrz nr 17, 18, 1 (19) i 3 (21) „W Obronie Pokoju”.

związku ze zbliżaniem się, a następnie wybuchem I wojny światowej

Dobre imię socjalistycznego ruchu starał się ratować Karol Liebknecht, gdy z trybuny ogarniętego szowinizmem parlamentu wołał, że największym wrogiem narodu niemieckiego nie jest naród i żołnierz francuski czy rosyjski, ale rząd niemiecki, służący interesom kapitalistycznym. Głos ten jednak zagłuszony został wrzaskami pozostałych posłów, wśród nich i socjaldemokratycznych.

W kierownictwie socjaldemokracji niemieckiej nacjonalizm i szowinizm wzięły górę nad proletariacką solidarnością międzynarodową. Tkwiła ona jednak w masach proletariackich skupionych wokół takich ludzi jak Karol Liebknecht, Ernest Thälmann, Wilhelm Pieck, Julian Marchlewski, Róża Luksemburg.

Marchlewski i R. Luksemburg to nazwiska, które pięknie zapisały się w dziejach nie tylko polskiego lecz i międzynarodowego, zwłaszcza niemieckiego ruchu robotniczego w walce z oportunizmem zdrajców II Międzynarodówki.

Po raz pierwszy spotykamy Marchlewskiego na arenie ruchu robotniczego w 1893 r. w Zurichu na Kongresie II Międzynarodówki, w którym udział brał jeszcze Engels. Wraz z Różą Luksemburg Marchlewski domagał się i uzasadniał konieczność uznania i dania równych praw młodej wówczas polskiej organizacji robotniczej, która była załącznikiem przyszłej Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy. Marchlewski i Róża Luksemburg występowali na kongresie zurichskim pod znakiem walki z Polską Partią Socjalistyczną przeciwko przesiąkniętej ideologią burżu-

azyjno-nacjonalistyczną. Broniąc zakwestionowanego przez przeciwników politycznych mandatu dla Róży Luksemburg, jednocześnie oboje występowali w obronie międzynarodowego marksizmu przeciwko tendencjom nacjonalistycznym. Walczyli z odwagą i uporem, jaki daje jedynie głębokie przeświadczenie, że się walczy o słuszną sprawę. Jako szermierze idei marksizmu weszli do II Międzynarodówki, jako szermierze marksizmu walczyli w pierwszych szeregach lewicy przeciwko reformistycznemu zabagnieniu i skażeniu zasad marksizmu, bez wahania zerwali z II Międzynarodówką i najostre ję napiętnowali, gdy w okresie wojny światowej II Międzynarodówka zdradziła teorię i praktykę proletariatu.

Jedną z najpiękniejszych postaci niemieckiego ruchu rewolucyjnego Klara Zetkin tak pisze o Marchlewskim:

„Róża zapoznała mnie z Marchlewskim w okresie, kiedy ten zmuszony emigrować, osiadł w Niemczech i rozpoczął z ogromnym zapałem walkę o wyzwolenie proletariatu niemieckiego i polskiego. Możemy zupełnie na nim polegać. On nas nigdy nie zawiedzie, nigdy sprawy nie zaniedba“. Marchlewski okazał się jednym z najzdolniejszych i najwierniejszych bojowników lewicy. Niezmordowanie walczył on z rewizjonizmem Bernsteina, Dawida i innych. Mobilizował robotników niemieckich przeciwko oportunistycznej praktyce w szeregach socjaldemokracji i związkach zawodowych, wzywając ich do przeciwstawiania się coraz bardziej grożącemu niebezpieczeństwu imperialistycznemu. Pod pseudonimem Karskiego był gorącym i cenionym współpracownikiem lewicowych gazet socjaldemokratycznych, jak „Leipziger Volkszeitung“ (Lipska

Gazeta Ludowa), „Dresdner Arbeiter-zeitung“ (Drezdeńska Gazeta Robotnicza) i tygodników, jak „Gleichheit“ (Równość) i „Neue Zeit“ (Nowy Czas).

W Berlinie Marchlewski, nie przestając pracować jako członek Zarządu Głównego SDKPiL, bierze czynny udział w rewolucyjnej działalności robotników niemieckich. Pracuje jako redaktor polityczny Lipskiej Gazety Ludowej. W artykułach swych Marchlewski walczy z reakcją pruską, z polityką Wilhelma II. Występuje przeciw ograniczeniu praw politycznych robotników i przeciwko polityce kolonialnej niemieckiego imperializmu i najostrzej zwalcza zapędy militarystyki niemieckiej. W owym czasie wzmaga się reakcja w łonie socjaldemokracji niemieckiej. R. Luksemburg, Mehring i Marchlewski stanowią zwarty front przeciwko prawicowemu skrzydłu partii niemieckiej.

W r. 1913 Marchlewski wydaje własny organ „Socjaldemokratyczna Korespondencja“ wraz z R. Luksemburg i Mehringiem. Organ był nielegalny, odbijany na hektografie i był wtedy jedyną mównicą dla redaktorów, którzy zerwali z wydawnictwami oportunistycznymi.

Wiosną 1914 r. Marchlewski w „Korespondencji“ między innymi umieścił artykuł „Jak Kozacy na ulicach St. Petersburga“, w którym chłostzcze bezlitośnie zapędy militarystyki pruskiej i rozbestwienie junkrów pruskich. Pruska policja, która dowiedziała się, że Marchlewski jest autorem tego artykułu, więzi go i grozi wydaniem go policji carskiej.

Partia niemiecka składa 15 tysięcy marek kaucji i uwalnia Marchlewskiego z więzienia. Wytoczono mu o ten arty-

kuł sprawę sądową, w przededniu wojny skazując na więzienie jego i członków redakcji czasopisma, które umieściło ten artykuł.

Jak już mówiliśmy, Marchlewski ściśle współpracował z Różą Luksemburg. Róża Luksemburg wraz z Julianem Marchlewskim i J. Dzierżyńskim była założycielką rewolucyjnej partii proletariatu polskiego SDKPiL, która dzięki walce z oportunizmem i szowinizmem od pierwszych chwil swego istnienia stała się mocno na gruncie proletariackiego internacjonalizmu.

Róża Luksemburg rozpoczęła swoją działalność w polskim ruchu robotniczym, ale później przebywając w Niemczech odegrała wybitną rolę w ruchu robotniczym tego kraju, stając się jedną z jego czołowych bojowników, sztan-darową postacią w walce przeciwko oportunistom i prawicowym przywódców socjaldemokracji niemieckiej. Występując na konferencjach, zjazdach i kongresach socjalistycznych, na setkach masowych wieców robotniczych, niezłomnie broniła idei międzynarodowej jedności klasy robotniczej i bezkompromisowej walki z burżuazją.

Marchlewski wspólnie z Różą Luksemburg, Liebknechtem, Mehringiem i Kłarą Zetkin oraz Wilhelmem Pieckiem stwarzają Związek Spartakusowców, z którego zrodziła się późniejsza Komunistyczna Partia Niemiec.

Od pierwszej chwili „Spartakus“ wysunął hasło „Wojna — wojnie“. Celem zgrupowania wokół tego hasła międzynarodowego rewolucyjnego proletariatu Związek wydaje nielegalnie odbijane na hektografie „Listy Spartaka“. Marchlewski pisze w „Listach“ artykuły: „Czyja wina, że wojna wybuchła“,

„Wojna i proletariat“, „Kwestia podatkowa“, „Głód“, „Niemcy — prawdziwe więzienie“, które docierały na front i przedstawiały się zagranicę, czyniąc wyłom w szowinistycznych naówczas nastrojach żołnierzy.

Wielką zasługą spartakusowców jest wydanie pisma „Die Internationale“ (Międzynarodówka). Wyszedł tylko jeden numer, gdyż uwięzienie redaktorów przeszkodziło dalszemu wydawaniu pisma. Ale już ten jeden numer wzbudził strach wśród burżuazji i wywołał prawdziwą burzę wśród prawicowych szajdemanowców.

Redaktorami „Die Internationale“ byli: Róża Luksemburg, Mehring i Marchlewski. W r. 1916 wszyscy redaktorowie pisma dostają się do więzienia. Ale mury więzienia nie mogą zagłuszyć płomiennych ich słów. R. Luksemburg z lochów więzienia potrafiła kierować organizacją, nadsyłała odezwy i artykuły piętnujące podżegaczy wojennych, renegatów socjalizmu, nawołujące do walki o pokój i socjalizm. Najpoważniejszą jej pracą w tym czasie jest „Kryzys socjaldemokracji“. Nazywa w niej skompromitowaną socjaldemokrację niemiecką „cuchnącym trupem“.

W końcu r. 1918 wybucha rewolucja w Niemczech. Z więzienia wychodzi R. Luksemburg i Liebknecht (Marchlewskiemu już wcześniej udało się wyjechać do Rosji Radzieckiej), wraca do Berlina Wilhelm Pieck. Rozpoczyna się gorączkowa praca rewolucyjna. Wraz ze znanym spartakowcem Tyszką — przedtem wodzem rewolucyjnej socjaldemokracji polskiej stają oni na czele ruchu robotniczego Niemiec.

Dla R. Luksemburg, K. Liebknechta, W. Piecka miesiące listopad i grudzień

1918 r. wymagały olbrzymiego wysiłku. Przemawiali na zebraniach, pisali artykuły i broszury, opracowywali podstawy kongresu założycielskiego komunistycznej partii, prowadzili dyskusje z robotnikami na ulicy, byli wzywani wszędzie tam, gdzie tego wymagała sytuacja.

Gdy stara socjaldemokracja przez swą politykę wojenną i popieranie starych kół militarystycznych, przez uznanie zasady zwierzchnictwa przedsiębiorców w zakładach pracy, przez rezygnację z przyjaźni z krajem zwycięskiej Rewolucji Październikowej wyrzuciła za bordy wszystkie zasady socjalistyczne, a Niezależna Partia Socjaldemokratyczna również zajęła chwiejne stanowisko, 30 grudnia 1918 r. niemiecka lewica stworzyła własną partię — Komunistyczną Partię Niemiec.

Na pierwszym kongresie partyjnym R. Luksemburg, K. Liebknecht i W. Pieck zostali wybrani do Komitetu Centralnego. Natychmiast wysyłają depeszę do Marchlewskiego wzywając go do powrotu do Berlina.

Marchlewski wyrusza do Berlina. W drodze dowiedział się o bestialskim zamordowaniu przez zbirów socjaldemokracji Noskego, Róży Luksemburg i Karola Liebknechta. Wierni słudzy kajzera, odpowiedzialni za wojnę, wrogowie każdego sprawiedliwego porządku społecznego dojrzeni w KPN wielkie niebezpieczeństwo...

Rozpoczęły się represje wobec rewolucyjnych robotników. Doszło do walk.

W Berlinie Marchlewski został powołany do Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Niemiec. Z Berlina zo-

staje wysłany do Essen (Zagłębie Ruhry) gdzie podówczas powstała „Komisja Dziewięciu“. Komisja składała się z przedstawicieli kopalń i delegatów górników. Marchlewski wszedł do komisji jako przedstawiciel Komunistycznej Partii Niemiec. Zadaniem Komisji była socjalizacja kopalń w zagłębiu węglowym. Praca szła pomyślnie. Robotnicy Ruhry dobrze znali Marchlewskiego. Na konferencji delegatów górniczych miała on kilkakrotnie odczyty, które następnie partia niemiecka wydała w oddzielnych broszurach „Socjalizacja górnictwa“, „System Rad“, „Co to jest bolszewizm“.

Socjalizacja nie dochodzi do skutku. Reakcja wzmaga się. Wojska Noskego

zbliżają się do Essen. Marchlewskiego uprzedzono, że wydano na niego wyrok śmierci. „Śmierć Spartakowcom“ wyla w całych Niemczech po krwawych dniach grudniowych i styczniowych burzuazja pod czułą opieką socjaldemokratycznych zdrajców i gadzinowej prasy. „Śmierć Spartakowcom“ terkotały kulomioty Noskego w centrach przemysłowych, gdy proletariat niemiecki pod wpływem Wielkiej Rewolucji Październikowej przejawiał chęć „przemawiania po rosyjsku“.

Niemieccy towarzysze dają do dyspozycji Marchlewskiego samolot, aby uciekał do Holandii. Marchlewski jednak w przebraniu parobka przedostaje się do Polski.



FAKTY Komentarze



KONTYNUACJA STALINOWSKIEJ POLITYKI POKOJU!

GDY w styczniu 1924 roku umarł Lenin, wrogowie Związku Radzieckiego liczyli na załamanie się państwa radzieckiego i na powstanie w ZSRR chaosu, z którego byliby w swoich imperialistycznych celach w stanie skorzystać. Ale wówczas mocne dłonie Stalina ujęły ster nawy państwowej i geniusz Stalina bezpiecznie wyprowadził państwo radzieckie na drogę realizacji wielkich wskazań Lenina. Pod mądrym kierownictwem Stalina państwo radzieckie stało się największą potęgą świata — ostoją pokoju i postępu ludzkości.

Obecnie, gdy zmarł Stalin, wrogowie Związku Radzieckiego snuli znowu nadzieje, może nie tak daleko idące jak po śmierci Lenina, ale niemniej wyraźne, że państwo radzieckie bez Stalina nie będzie już tą niewzruszoną potęgą na straży pokoju i postępu ludzkości, jaką był Związek Radziecki za życia Stalina. Imperialiści amerykańscy, jak tego dowodzą niektóre miarodajne głosy amerykańskie, liczyli co najmniej na poważne osłabienie swartej frontu Obozu Pokoju.

Ale znów sromotnie zawiedli się imperialiści. Charakterystyczny był komentarz amerykańskiej „Associated Press“, która w ocenie uchwalił Komitet Centralny KPZR, Rada Ministrów ZSRR i Prezydium Rady Najwyższej ZSRR w związku z reorganizacją organów państwowych i partyjnych po śmierci Stalina, pisała: „Szybkość, z jaką koła kierownicze Kremla zorganizowały... jednolity front, oznacza, że nadzieje Stanów Zjednoczonych okazały się płonne“. Zwartość całego Obozu Pokoju ze Związkiem Radzieckim na czele wywołała — jak pisał „Chica-

go Sun Times“ — „zamieszanie w Waszyngtonie“. Z kół imperialistycznych sugerowane były twierdzenia, że wraz z rzekomym osłabieniem fundamentów, na których zbudowana jest potęga Związku Radzieckiego, osłabnie również pokojowy program radzieckiej polityki zagranicznej i Związek Radziecki da się łatwiej sprowokować agresywnym intrygom imperialistycznym, zmierzającym do wywołania trzeciej wojny światowej.

Wszystkie te niedorzeczne nadzieje i twierdzenia wrogów Obozu Pokoju zostały od razu rozwiane już w dniu pogrzebu Stalina, gdy nad grobem Jego przemówili Jego uczniowie i współtowarzysze, którzy są dzisiaj kontynuatorami Jego dzieła.

„Nasz święty obowiązek — oświadczył przewodniczący Rady Ministrów ZSRR i sekretarz Komitetu Centralnego KPZR, Malenkow — polega na tym, aby nadal nieustannie i wszechstronnie umacniać nasze wielkie państwo socjalistyczne, ostoję pokoju i bezpieczeństwa narodów... Polityka zagraniczna państwa radzieckiego — polityka pokoju i przyjaźni między narodami jest decydująca przeszkodą na drodze do rozpętania nowej wojny i odpowiada najwyższemu interesom wszystkich narodów. Związek Radziecki niezmiennie występował i występuje w obronie pokoju świata, albowiem jego interesy są nieodłączne od sprawy pokoju na całym świecie. Związek Radziecki prowadził i prowadzi konsekwentną politykę utrzymania i utrwalaenia pokoju, politykę walki przeciwko przygotowywaniu i rozpętywaniu nowej wojny, politykę współpracy międzynarodowej i rozwijania stosunków gospodarczych ze wszystkimi krajami, politykę opartą na tezie leninowsko - stalinowskiej o mo-

zliwości długotrwałego współistnienia i pokojowej rywalizacji dwóch różnych systemów — kapitalistycznego i socjalistycznego. Wielki Stalin wychowywał



nas w duchu bezgranicznie ofiarnej służby w interesie narodu. Jesteśmy wiernymi sługami narodu, a naród chce pokoju, nienawidzi wojny. Niechaj święte będzie dla nas wszystkich pragnienie narodu, by nie dopuścić do przelewu krwi milionów ludzi i by zapewnić pokojowe budownictwo szczęśliwego życia! W dziedzinie polityki zagranicznej główną naszą troską jest nie dopuścić do nowej wojny, współżyć w pokoju ze wszystkimi krajami. Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego, rząd radziecki uważają, że najsluszniejszą, najsprawiedliwszą i najbardziej konieczną polityką zagraniczną jest polityka pokoju między wszystkimi narodami. oparta na wzajemnym zaufaniu, polityka oddziaływująca, opierająca się na faktach i znajdujaca potwierdzenie w faktach. Rządy powinny wiernie służyć swoim narodom, narody zaś pragną pokoju, przeklinają wojnę. Zbrodnicze będą te rządy, które zapagną oszukać narody, pójda wbrew świętemu pragnieniu narodów utrzymania pokoju i niedopuszczenia do nowej krwawej rzezi. Partia Komunistyczna, rząd radziecki stoją na stanowisku, że polityka pokoju między narodami jest jedynie słuszną polityką, odpowiadającą żywotnym interesom wszystkich narodów“.

Podobnie określił cele polityki zagranicznej, przekazane przez Stalina, inny uczeń i współpracownik Jego, pierwszy zastępca przewodniczącego Rady Ministrów ZSRR, Beria: „Nasza polityka zagraniczna jest wyraźna i zrozumiała. Od pierwszych dni ist-

nienia władzy radzieckiej Lenin określił politykę zagraniczną państwa radzieckiego jako politykę pokoju. Tę politykę pokoju nieugięcie realizował wielki kontynuator dzieła Lenina nasz genialny Wódz Stalin. Polityką zagraniczną Rządu Radzieckiego będzie nadal leninowsko - stalinowska polityka utrzymania i utrwalenia pokoju, walki przeciwko przygotowywaniu i rozgryzaniu nowej wojny, polityka współpracy międzynarodowej i rozwoju stosunków gospodarczych ze wszystkimi krajami na podstawie wzajemności“.

Również długoletni współpracownik i współtowarzysz Stalina, minister spraw zagranicznych ZSRR, pierwszy zastępca przewodniczącego Rady Ministrów ZSRR, Mołotow podkreślił w przemówieniu nad grobem Stalina wolę Związku Radzieckiego kontynuowania pokojowej polityki stalinowskiej. „Nasze państwo radzieckie — oświadczył Mołotow — nie ma żadnych agresywnych celów i ze swej strony nie uznaje ingerencji w sprawy innych państw. Nasza polityka zagraniczna, znana na całym świecie jako stalinowska pokojowa polityka zagraniczna, jest polityką obrony pokoju między narodami, jest niewzruszoną polityką utrzymania i utrwalenia pokoju, walki przeciwko przygotowywaniu i rozpętywaniu nowej wojny, polityką współpracy międzynarodowej i rozwoju stosunków gospodarczych ze wszystkimi krajami, które do tego również dążą. Taka polityka zagraniczna odpowiada podstawowym interesom narodu radzieckiego, a jednocześnie interesom wszystkich innych miłujących pokój narodów“.

Te pokojowe oświadczenia kontynuatorów stalinowskiej polityki nie były bynajmniej objawami słabości lub niepewności. Przeciwnie. Jak oświadczył w swoim przemówieniu Beria: „Wrogowie państwa radzieckiego liczą na to, że poniesiona przez nas ciężka strata doprowadzi do rozprzerżenia i zamieszania w naszych szeregach. Daremne są ich rachuby: czeka ich okrutne rozczarowanie. Kto nie jest ślepy, widzi, że partia nasza w trudnych dla

niej dniach zespala jeszcze ściślej swoje szeregi, że jest ona jednolita i niezachwiana. Kto nie jest ślepy, widzi, że w tych bolesnych dniach wszystkie narody Związku Radzieckiego w braterskiej jedności z wielkim narodem rosyjskim zespoliły się jeszcze ściślej wokół Rządu Radzieckiego i Komitetu Centralnego Partii Komunistycznej". „Niechaj nikt nie sądzi, — ostrzegał Beria — że wrogowie państwa radzieckiego potrafią nas zaskoczyć“.

Ta sama nuta niezachwianej pewności była w słowach Mołotowa, który powiedział: „Iść wiernie i godnie w ślady Stalina — znaczy również wykazywać należyta czujność i hart w walce przeciwko wszelkim knowanom naszych wrogów, agentów agresywnych państw imperialistycznych“.

Dzieło Stalina pozostaje nieśmiertelne.

Jak oświadczył w przemówieniu w chwili powrotu z uroczystości pogrzebowych z Moskwy prezes Rady Ministrów, Bolesław Bierut — „Stalin żyje w sercach olbrzymiej większości ludzi i potęga Jego myśli, Jego idei, Jego geniuszu żyć będzie wiecznie. Będzie ona wieść nieugięte ludzkość naprzód na wyżyny nowego, lepszego, szlachetniejszego życia... Nieśmiertelna, niezwykła jest prawda o którą przez całe swe życie walczył, której torował swym genialnym umysłem drogę, której nauczał nas towarzyszyć Stalin. Jest to święta prawda o tym, że społeczeństwo ludzkie może i powinno rozwijać się bez wyzysku człowieka przez człowieka, że narody świata mogą i powinny żyć wolne, niezależne, opierając stosunki między sobą na przyjaźni, braterstwie i pomocy wzajemnej“.

RYSY W BLOKU AGRESJI

RATYFIKACJA „układu ogólnego” oraz układu o „armii europejskiej” nie tylko nie usunęła, ale jeszcze bardziej pogłębiła sprzeczności w tzw. „wspólnocie europejskiej”. Zwłaszcza we Francji, również w kołach burżuaz-

yjnych, rosną obawy w związku z odbudową Wehrmachtu. W związku z tym rząd francuski — jeszcze przed ratyfikacją układów w Bonn — dokonał szeregu manewrów zmierzających do oszukania opinii publicznej i do usunięcia przeszkód na drodze do ratyfikacji układu o „armii europejskiej” przez parlament francuski. Zrekapitulujmy pokrótce te wydarzenia.

24 października 1950 premier francuski, René Plevén wystąpił przed Zgromadzeniem Narodowym Francji po raz pierwszy z ideą utworzenia „armii europejskiej”, w skład której wchodziłby także kontyngent niemiecki. Od tego czasu minęło blisko dwa i pół lat, ale plan Plevena nie tylko nie został do tej pory zrealizowany, lecz przeciwnie, urzeczywistnienie „armii europejskiej” napotyka właśnie we Francji na coraz bardziej wzrastające trudności. Co prawda, odpowiednie umowy międzynarodowe, ustalające zasady wprowadzenia „armii europejskiej” w życie, zostały już w maju zeszłego roku w Paryżu podpisane, ale ratyfikacja tych umów przez francuskie Zgromadzenie Narodowe staje się z dnia na dzień mniej prawdopodobna. By zdobyć możliwości lawirowania, rząd francuski wysunął pewne poprawki do układów, poprawki które znalazły swój wyraz w przedłożonych Zgromadzeniu Narodowemu projektach dodatkowych protokołów. Dotyczą one: 1) prawa wycofania francuskich dywizji „armii europejskiej”, gdyby zaistniała potrzeba użycia ich na zamorskich terytoriach Francji, 2) systemu głosowania w najwyższym organie kontrolującym „armię europejską” — w tzw. „europejskiej wspólnocie obronnej” — przez wprowadzenie większości kwalifikowanej, co miałoby jakoby uchronić Francję od majoryzacji przez Niemcy zachodnie w bloku z Włochami, oraz 3) udziału W. Brytanii w „armii europejskiej”.

Ten ostatni protokół miał na celu pozyskanie dla ratyfikacji przez Zgromadzenie Narodowe przede wszystkim tych deputowanych z większości rządowej, którzy jak Herriot, Daladier i inni radykałowie oraz będący chwilowo w

opozycji prawicowi socjaliści wysuwają przeciwko ratyfikacji argument, że bez udziału w „armii europejskiej” W. Brytanii znajdzie się ona rychło opaczona przez Niemcy. René Mayer i Bidault liczył więc na to, że pewnie, chociażby skromne zobowiązania brytyjskie w tym kierunku wzmocnią pozycję rządu w nadchodzącej debacie parlamentarnej nad ratyfikacją umowy o „europejskiej wspólnocie obronnej”.

Temu celowi służyła przede wszystkim wizyta Mayera i Bidault w Londynie.

Propozycje francuskie zmierzały między innymi do tego, aby układ gwarantujący dla Francji, podpisany w swoim czasie przez Stany Zjednoczone, W. Brytanię i Francję na okres trwania paktu północno - atlantyckiego, czyli na lat 20, został obecnie przez W. Brytanię przedłużony na lat 50, a więc na ten sam okres, na jaki przewidziane jest trwanie układu o „armii europejskiej”. Według londyńskiego korespondenta „New York Herald Tribune” oraz według amerykańskiej agencji „United Press”, Mayer i Bidault gotowi byli nawet uznać zgodę W. Brytanii na stacjonowanie wojsk brytyjskich na kontynencie europejskim w ciągu 50 lat jako równoznaczną z „pięćdziesięcioletnią gwarancją” wobec Francji, która obawia się „pozostać sam na sam z armią niemiecką”.

Ale nawet w sprawie tej mało istotnej w gruncie rzeczy koncesji, która miała zamyslić oczy francuskiej opinii publicznej, spotkał ministrów francuskich w Londynie zawód. W. Brytania, jak wynika z wystosowanego do Paryża w pierwszych dniach marca memoriału, nie zgodziła się na pozostawienie swych sił zbrojnych na kontynencie europejskim przez okres ważności układu o „armii europejskiej”, tzn. przez okres 50 lat. Rząd brytyjski nie poczynił również żadnych zobowiązań brytyjskich łącznikowych misji wojskowych na wszystkich szczeblach „armii europejskiej”, nie przyjmując sugestii francuskich w tym kierunku.

Dla stanowiska brytyjskiego charak-

terystyczna była wypowiedź londyńskiego „Times”, który — występując wyraźnie przeciwko związaniu się W. Brytanii z „europejską wspólnotą obronną” — zapytał: „Jak rząd francuski mógł występować z żądaniem, by Anglia zobowiązała się utrzymać na kontynencie na stałe pewną ilość dywizji, skoro Paryż sam żąda dla siebie prawa wycofania własnych dywizji z armii europejskiej, jeśli zajdzie ku temu potrzeba?”

Odbyte celem uzgodnienia poglądów na temat francuskich protokołów dodatkowych rokowania w Paryżu ekspertów zainteresowanych sześciu rządów w przededniu konferencji w Rzymie, ujawniły głęboką przepaść między poglądami francuskimi a niemieckimi. Przedstawiciel rządu federalnego w Bonn, desygnowany na ministra wojny Blank kategorycznie oświadczył w Paryżu, że protokół francuski, zastrzegający dla rządu francuskiego prawo wycofania francuskich dywizji ze składu „armii europejskiej”, pod żadnym pozorem nie jest dla Niemców zachodnich do przyjęcia.

Na tle tak jaskrawo zarysowanych różnic między Paryżem a Bonn spotkanie w Rzymie pod koniec lutego br. nabrało specjalnego znaczenia. Londyński „Daily Telegraph” pisał w przededniu rozmów w Rzymie, że „spotkanie to może być krytyczne dla Europejskiej Wspólnoty Obronnej”, albowiem stosunki między Francją a Niemcami zachodnimi stały się — zdaniem „Daily Telegraph” — „najgorsze od czasu zakończenia wojny”. W tych warunkach konferencja w Rzymie z góry nie rokowała wiele nadziei powodzenia.

Podjęta w Rzymie próba usunięcia lub przynajmniej zmniejszenia rozbieżności zdań pomiędzy Francją a Niemcami zachodnimi nie udała się. Adenauer zgłosił przeciwko protokołom dodatkowym rządu francuskiego stanowczy sprzeciw, żądał, aby Francja się tych protokołów wyrzekła i uprzedził, że rząd w Bonn nie zgodzi się na przyznanie Francji jakichkolwiek specjalnych uprawnień w „armii europejskiej” ani specjalnego statutu dla wojsk fran-

cuskich, stacjonujących w zachodnich Niemczech. Adenauer nalegał na podjęcie niezwłocznie kroków zmierzających do ratyfikacji układu o „europejskiej współpracy obronnej“, z tym aby zagadnienie protokołów dodatkowych rozpatrywane było później, po ratyfikacji. Zachowanie się Adenauera na konferencji w Rzymie było jaskrawym odbiciem faktu, że imperialistyczne koła rządzące Ameryki całkowicie podtrzymują stanowisko Adenauera: po prostu występował on w Rzymie jako ich rzecznik.

Francuski minister spraw zagranicznych Bidault w mglisty i niezdecydowany sposób wyraził gotowość zrewidowania i odmiennego nieco sformułowania protokołów dodatkowych, nie mógł jednak wyrzec się ich zupełnie, bo w takim razie układ o „europejskiej współpracy obronnej“ miałby jeszcze mniej szans ratyfikowania go przez francuskie Zgromadzenie Narodowe.

Konferencja w Rzymie nie dała żadnych pozytywnych rezultatów. Przeciwnie, była ona dowodem wzmocnienia się sprzeczności w obozie imperialistycznym i uwidoczniła kryzys projektu „armii europejskiej“ w całej jaskrawości.

Sprzeczności pomiędzy Niemcami zachodnimi a Francją ujawniły się następnie przy interpretacji uchwał konferencji rzymskiej.

Niewyraźne stanowisko, jakie zajął w Rzymie Bidault i dyskontowanie uchwał rzymskich przez Adenauera jako zwycięstwo jego tezy spowodowały wzrost podejrzeń we Francji. Zarówno pravicowi socjaliści jak i grupa generała de Gaulle zajęli wobec sprawy ratyfikacji układu o „armii europejskiej“ przez Zgromadzenie Narodowe stanowisko jeszcze bardziej negatywne niż dotąd.

O ile chodzi o prawicowych socjalistów, to rzecznik ich oświadczył, po otrzymaniu w Paryżu negatywnej odpowiedzi Anglii w sprawie przystąpienia do „armii europejskiej“, że socjaliści nie będą głosowali za ratyfikacją, o ile W. Brytania trwać będzie przy swojej odmownej decyzji co do pozostawie-

nia swoich sił zbrojnych na kontynencie europejskim na 50 lat i ustanowienia łącznikowych misji wojskowych na wszystkich szczeblach „armii europejskiej“.



skiej“. Generał de Gaulle zaś oświadczył, że w obecnych warunkach projekt układu w sprawie utworzenia „armii europejskiej“ jest nie do przyjęcia, z załącznikami protokołów dodatkowych czy też bez nich.

W tej sytuacji, mając przeciwko ratyfikacji głosy komunistów, prawicowych socjalistów i grupy de Gaulle'a, przy poważnych wahanjach w łonie partii radykałów, rząd Mayera nie ma widoków na przeforsowanie ratyfikacji układu o „armii europejskiej“ w Zgromadzeniu Narodowym.

Kryzys projektu „armii europejskiej“ oświecił dobitnie Walter Lippman w „New York Herald Tribune“. Lippman wyraził wątpliwość, czy w ogóle dojdzie do ratyfikacji układu o „armii europejskiej“ w parlamentach francuskim i zachodnio-niemieckim. Gdyby jednak to nastąpiło, to i te uchwały nie miałyby większego znaczenia, gdyż „projekt armii europejskiej nie jest do zrealizowania za pomocą nacisku i przynagłania rządów europejskich“. Formalna ratyfikacja wywoła niekończące się spory nad kwestią rozbudowy, wyposażenia, dowództwa i finansowania „armii europejskiej“. Lippman przyznał, że układ „będzie zerem, skoro zabraknie poparcia ludności Francji i Niemiec“. Lippman proponował więc zmianę metod polityki amerykańskiej i zrezygnowanie z szantażu, gdyż „prawdziwy sojusz, tak samo jak małżeństwo, nie może być zawierany pod groźbą rewolweru“, a narzucona ratyfikacja „byłaby oszustwem, ponurym gestem ze strony państw europejskich, które w ten sposób pragnęłyby otrzy-

mać pieniądze amerykańskie". „Nie da się — stwierdził Lippman — kupić lojalności aliantów za pomocą szantażu”.

Stwierdzenie to nie wymaga komentarzy. Wiemy, że ani ludność Francji, ani ludność Niemiec nie udziela swego poparcia dla układu, który godzi bezpośrednio w ich interesy. I dlatego układ „będzie zerem”.

DRUGA CZĘŚĆ VII SESJI ONZ

SIÓDMA sesja Zgromadzenia ONZ nie zakończyła wszystkich spraw porządku dziennego, gdy 21 grudnia ub. r. jej obrady zostały przerwane. Przed wznowioną 24 lutego br. drugą częścią siódmej sesji pozostało do rozpatrzenia dziesięć niezalatwionych punktów porządku dziennego. Większość tych spraw, a mianowicie osiem — to sprawy wchodzące w zakres kompetencji Komisji Politycznej. Dziewiąta sprawa, a mianowicie o wyznaczenie następcy na miejsce ustępującego Sekretarza Generalnego, Trygve Lie, załatwiana jest przez posiedzenie plenarne Zgromadzenia na podstawie zalecenia Rady Bezpieczeństwa. Zaś dziesiąta sprawa — sprawozdanie Sekretarza Generalnego na temat jego polityki personalnej w związku z badaniem „prawomyślności” amerykańskich urzędników ONZ przez inwigilacyjne władze amerykańskie, była przedmiotem debaty bezpośrednio plenarnego posiedzenia sesji. Faktycznie więc, druga część siódmej sesji sprowadzała się przeważnie do obrad Komisji Politycznej.

Wśród spraw, jakie pozostały Komisji Politycznej do załatwienia na czoło wysuwały się trzy sprawy: sprawa rozejmu w Korei, propozycja polska na temat środków zapobieżenia groźbie nowej wojny światowej, utrwalenia pokoju i przyjaznej współpracy między narodami oraz sprawozdanie Komisji Rozbrojeniowej.

Pierwszeństwo zagadnienia koreańskiego było bezsporne. Chodziło wszak o toczącą się w dzień i w noc krwawą wojnę, chodziło o ukrócenie cierpień i nieszczęść bezbronnego narodu koreańskiego i jeńców wojennych, prze-

śladowanych w amerykańskich obózach jenieckich, chodziło o przerwanie okrutnego bombardowania z powietrza i z morza, które wyrządza Korei nieobliczalne straty.

Ale po tym punkcie porządku dziennego sprawą najważniejszą — wydawałoby się wszystkim uczciwym i bezstronnym obserwatorom — była propozycja polska. Nic przeło dziwnego, że zaraz na pierwszym posiedzeniu delegat polski, minister Skrzyszewski wysunął wniosek, aby propozycja polska umieszczona została po sprawie Korei, jako punkt drugi porządku dziennego obrad Komisji Politycznej. Ministra Skrzyszewskiego poparli delegat ZSRR, minister Wyszyński i delegat Czechosłowacji, minister spraw zagranicznych, David.

Ale posłuszna Ameryce większość zdecydowała inaczej: na drugim miejscu porządku dziennego umieszczono na żądanie Grecji bezprzedmiotową i prowokacyjną sprawę rzekomego przetrzymywania żołnierzy greckich przez kraje demokracji ludowej, dokąd większość tych Greków, walczących przeciwko rządowi monarcho-faszystowskiemu w Grecji, w swoim czasie się schroniła. Nie pomógł wysunięty przez ministra Wyszyńskiego słuszny argument, że sprawa grecka jest sztucznie wysuniętą skargą, która ma na celu odwrócenie uwagi ONZ od stojących przed nią pilniejszych spraw.

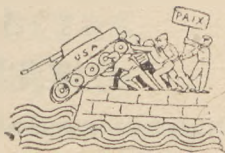
Wznowienie prac siódmej sesji Zgromadzenia ONZ nastąpiło w okolicznościach odmiennych od sytuacji na początku tej sesji, w połowie października ub. r. Wówczas Stany Zjednoczone były w ogniu walki wyborczej, która przyniosła zwycięstwo partii republikańskiej. Rząd Trumana dogorywał i ustępujący prezydent oraz jego Sekretarz Stanu unikali odpowiedzialności za jakiegokolwiek ważniejsze decyzje, które potem mogły zostać zdezawuowane przez rząd Eisenhowera. Delegację amerykańską na Zgromadzeniu cechowało w tym czasie unikanie ważniejszych decyzji i chowanie się za plecy innych delegacji, jak to było z rezolucją w sprawie zakończenia wojny w Korei, wniesioną przez delegację Indii.

Inaczej przedstawiała się sytuacja wznowionej sesji. Od 20 stycznia — od chwili gdy Eisenhower zasiadł w Białym Domu, zarówno Eisenhower jak i Dulles parokrotnie występowali z wypowiedziami, które stanowczo wskazywały na chęć rozszerzenia wojny na Dalekim Wschodzie i jeszcze większego zaognienia napiętej sytuacji międzynarodowej. Zapowiedź „deneutralizacji” Formozy celem dania wolnej ręki bandom Czang Kai-szeka do napaści na Chiny Ludowe, sugestia blokady wybrzeży Chin kontynentalnych, deklaracja jednostronnego wycofania się Stanów Zjednoczonych z niektórych zawartych dawniej zobowiązań, szantażowanie satelitów zachodniej Europy groźbą wycofania pomocy dolarowej w razie dalszego opóźniania ratyfikacji układu o „armii europejskiej” — wszystko to powiększyło napięcie międzynarodowe.

W tych warunkach wznowiona część siódmej sesji Zgromadzenia ONZ stała się widownią bardziej jeszcze niż dawniej, prowokacyjnych i podlegających do wojny ataków ze strony występującej w zmienionym, eisenhowerowskim składzie delegacji amerykańskiej. Już pierwsze kroki, jakimi odznaczył się nowy szef delegacji amerykańskiej, w ONZ, Henry Cabot Lodge, były tego wymownym świadectwem.

W poważnej liczbie delegacji państw reprezentowanych w ONZ, polityka amerykańska budzi wzrastające zastrzeżenia. Już pierwsze, odbyte po wznowieniu sesji głosowania wykazały, że coraz większa liczba państw — członków ONZ odrzuca dyktando amerykańskie i głosi je samodzielnie.

Gdy na początku wznowionej sesji minister Wyszyński zaproponował, aby do omawiania sprawy koreańskiej zaprosić delegatów rządu Północnej Ko-



rei za wnioskiem jego, oprócz Związku Radzieckiego, Polski, Czechosłowacji, Ukrainy i Białorusi, głosowało jednaście państw arabskich i azjatyckich, a mianowicie Afganistan, Birma, Egipt, Indie, Indonezja, Iran, Irak, Arabia Saudyjska, Syria, Pakistan i Yemen. Od głosu wstrzymały się Argentyna, Boliwia, Chile, Gwatemala, Izrael i Liban.

Ten wynik głosowania był niezmiernie znamieny: w istocie rzeczy aż 22 delegacje przeciwstawiły się dyktandu amerykańskiemu. Jesteśmy więc na wznowionej, drugiej części siódmej sesji Zgromadzenia ONZ świadkami dalszego narastania tych tendencji, które zaznaczyły się już dobitnie w toku pierwszej części sesji, zwłaszcza na tle omawianych zagadnień kolonialnych. Nie ulega wątpliwości, że nieustanny rozwój ruchu narodowo - wyzwolenczego ludów kolonialnych i uciśnionych, przeciwstawiających się naciskowi imperializmu anglo - amerykańskiego, stwarza dla ONZ nową sytuację, która stopniowo dojrzewa.

STEFAN LITAUER

T R E Ś Ć N U M E R U :

Nieśmiertelna nauka JÓZEFA STALINA Chorążego Pokoju	3
PIERRE COT: Neutralizm i pokój	6
CLAUDE MORGAN: Przeciwn propagandzie wojennej	9
Spotkanie z pastorem NIEMOELLEREM	12
GORDON SCHAFFER: Pokój jest niepodzielny	16
Mały leksykon „wspólnoty europejskiej“	21
Oto co myślał...	26
Droga wyjścia z impasu. Wywiad z PAUL RIVET	32
GERALD CAZAUBON: Dwaj żołnierze	35
ENRICO ALVAREZ: Wenezuela — kraj kontrastów	40
CLAUDE ROY: Pekin	46
GEORGE BESSON: Tragiczne życie Vincent Van Gogha	56
YASHPAL: Dwie bajki hinduskie	64
Operacja katarakty	71
ARMAND BERUBE: W kraju futer i cukru	78
Po ośmiu latach (21.IV.1945 — 21 IV.1953 r.)	86
STEFAN ARSKI: Miażdżący akt oskarżenia	88
KRZYSZTOF ZAREWICZ: Pierwsza wśród równych	92
WŁADYSŁAW SZCZERBIC: Adenauer za drutem kolczastym	96
Prof. ZYGMUNT MŁYNARSKI: Tradycje przyjaźni polsko - niemieckiej (V)	100
STEFAN LITAUER: Fakty i komentarze	105

K T

Miesięcznik „W Obronie Pokoju” ukazuje się dotychczas w następujących krajach:

FRANCJA: „Defense de la Paix“, 33 rue Vivienne, Paris II-e.

Prenumerata: rocznie — 600 fr., półrocznie — 300 fr.

ZSRR: „W Zaszczitu Mira“, Moskwa, ul. Krapotkina 19.

BULGARIA: „Zaszczita na Mira“, Sofia, Ivan-Vazov 27.

WŁOCHY: „La Pace“, Rassegna internazionale del mese,
Roma, Via Savoia 82.

ALGER: „Difaa Aani Silm“, Alger, 1, rue Borely-la-Sapie

MEKSYK: Revista „Paz“, Mexico 1, D. F., Avenida Juarez 20.

CHINY: „Pao Wei Ho Ping“, Pekin, Taichichang 9.

NRD: „Friedenswacht“, Mauerstrasse Berlin, W. 8.

NIEMCY ZACHODNIE: „Friedenswacht“, Düsseldorf, Beet-
hovenstrasse 24.

JAPONIA: „Heiwa Yogo“, Japan Peace Committee c/o Bun-
ka Kogya Kaikan, 12, 7-chome, Shiba, Shinbashi, Mi-
nato-ku, Tokyo.

RUMUNIA: „In Apararea Pacil“, Revista Lunara Bucuresti,
str. Polonia 19.

BRAZYLIA: „Partidarios da Paz“, Rua Sao Jose No 50.
Sala 502, Rio de Janeiro.

KANADA: „Peace Review“ 82 Gould St., Toronto.

FINLANDIA: „Tanaan“, 15/17 Erottajankatu, Helsinki.

IRAN: „Defae Az Solhe“, av. Ferdowsi, Teheran.

